

Stowarzyszenie Miłośników Czeladzi



CZELADZKIE LEGENDY

CZELADZKIE LEGENDY

Projekt okładki:
Władysław Maciej Żymirski
GRAF-MAR

Korekta:
Władysław Kwaśniak

Rysunki:
Władysław Maciej Żymirski

Opracowanie wydawnicze:
Mariusz Bazan

Skład i łamanie:
Mariusz Bazan

Wydawca:
Stowarzyszenie
Miłośników Czeladzi
Czeladź, ul. 1-go Maja 27

Druk:
GRAF-MAR
Będzin, ul. Małachowskiego 17/3

ISBN 83-904898-0-5

Nakład: 400 egz.

Biblioteczka Stowarzyszenia Miłośników Czeladzi

CZELADZKIE LEGENDY

Wydanie drugie uzupełnione

Zebrał
Władysław Kwaśniak



K

821.162.1-3: Grel. celi

12.955

Wstęp

Myśl o zebraniu anegdot i opowiadań z terenu miasta Czeladzi zrodziła się w Stowarzyszeniu Miłośników Czeladzi, na zebraniu reaktywującym jego powstanie w lutym 1983 roku. W planie pracy sekcji historycznej przewidywano zbieranie odpowiednich materiałów w różnych środowiskach. Niestety - trudny okres w którym żyjemy, tak pod względem politycznym jak i gospodarczym, spowodował zastój w tych pracach, zastój który w naszym mniemaniu odbija się negatywnie na poczynaniach kulturalnych miasta.

Z istniejącego zniechęcenia, marazmu, chcemy ratować z dorobku kulturalnego miasta przede wszystkim to, co przemijające, co za lat 10 czy 50 będzie już nie do odtworzenia. Baśnie, legendy, anegdoty, podania. Czeladź - najstarsze miasto Zagłębia Dąbrowskiego - jest w nie bogata. Ich nosicielami są przeważnie ludzie dojrzały, czasem już starzy, a tych jest liczna grupa w naszym stowarzyszeniu.

To z ich inspiracji ten zbiorek się zrodził.

W zbiorze wykorzystano anegdoty i opowiadania drukowane w różnych czasopismach dawnego okresu jak: „Lud”, „Iskra”, „Kurier Zachodni”, „Expres Zagłębia” przez takich publicystów jak: Marian Kantor-Mirski, Konstanty Ćwierk, poeta Roman Musialik czy Antoni Rączaszek - były burmistrz Czeladzi - oraz zapamiętanych z czasów młodości przez autora niniejszego zbioru.

Zbiór uporządkowano chronologicznie co do opisywanych zdarzeń.

Stowarzyszenie Miłośników Czeladzi zbiorze ten adresuje do czeladzkiej młodzieży. By zechcieli zapamiętać, by byli dumni ze swego miasta.

Pierwsze wydanie legend ukazało się w 1987 roku, drukowane na „xero”. Rozeszło się błyskawicznie a dodruki też nie rozwiązały rosnącego zapotrzebowania. Za namową Urzędu Miasta przystąpiliśmy do wydania drugiego - poszerzonego. Za pomoc finansową Radzie Miejskiej Czeladzi dziękujemy.

Czeladź 1995 rok

Władysław Kwaśniak

Skąd się wzięła nazwa Czeladzi.

Było to około 1038 roku Książę czeski Brzetysław napadł na Śląsk który w tym czasie należał do Królestwa Polskiego. Oddziały księcia Brzetysława zaczęły zagrażać nawet Krakowowi. W tym czasie zmarł król Polski Mieczysław II i kraj pozbawiony był władcy.

Ostatni z synów zmarłego króla - Kazimierz, jako najmłodszy przebywał w klasztorze Chegney we Francji południowej i nie miał zamiaru go opuszczać. Gdy jednak przybył doń wojewoda krakowski przedstawiając mu ciężkie położenie kraju i w imieniu narodu prosząc go o powrót do Polski i objęcie rządów, młody królewicz dał się namówić i z orszakiem rycerzy wrócił przez Niemcy i Śląsk by objąć władzę jako nowy król Polski zwany Kazimierzem Odnowicielem...

Jechał tedy Kazimierz przez Śląsk opustoszony i zabiedzony by wreszcie przeprawiwszy się przez rzekę Brynicę, zwaną wówczas Braną zauważył na rozległej polanie mnóstwo pasących się jeleni, saren, i dzikich koni, wobec czego rozkazał swemu orszakowi: - Strzelać, strzelać! - ale sfrancuziały mocno królewicz kiepsko wymawiał słowo „strzelać” przeto rycerze, giermkowie i towarzysząca mu służba (czeladź) odebrali to polecenie jako „czeladź - strzelać”. I strzelano ubijając dużo zwierzyny na dalszą drogę.

Tak miała powstać nazwa miasteczka Czeladź, która wkrótce tu powstała. Dość należy że nazwa miasta w średniowieczu różnie była pisana. I tak, według starych zapisów zwano ją: Chelad (1225), Celezc (1238), Celaz (1242), Celad (1243), Czheladiz (1257), Zelezt (1250), Czedlez (1328), Czelacz (1468) czy Czelącz (1529). Wg R. Kuhman. „Oberschlesische Sagen Gesichtlicher Art”. Wrocław 1926 i „Słownik historyczno-geograficzny województwa krakowskiego w średniowieczu”. Ossolineum 1985r.

Współcześni językoznawcy nazwę miasta Czeladzi wywodzą jednak od „czeladzi” służby będącej na usługach możnowładcy tych ziem.



Złoty ołtarzyk

Było to jeszcze za czasów pogańskich. Na wzgórzu, gdzie obecnie stoi kościół czeladzki istniało zglisko gdzie palono ciała zmarłych i czyniono ofiary. Na owym zglisku za biskupa Rachelina (1034 - 1047) miała stanąć kaplica, w której ustawiono mały złoty ołtarzyk. Gdy w 1038 roku z jednej strony zbliżały się hordy Brzetysława czeskiego a z drugiej strony bandy naroczników⁽¹⁾ wyniesiono mały złoty ołtarzyk i zakopano go w szczelinie na zboczu wzgórza. W parę dni później zgorzała kapliczka podpalona przez żoldaków Brzetysława, a w miejscu jej odżyło znowu zglisko wzięte w posiadanie przez pogańskich naroczników. Gdy chciwy Brzetysław dowiedział się, że w kapliczce znajdował się złoty ołtarzyk, posłał ludzi zbrojnych, aby go za wszelką cenę odszukali i przywieźli go ze sobą. Szukano długo, powycinano na wzgórzu odwieczne sosny i dęby, rozkopywano ziemię, rozbijano skały, lecz nadaremnie, - ołtarzyka złotego nie odnaleziono. Gdy ucihła rewolucja, wzniecona przez pogan, a na stolisy biskupiej w Krakowie zasiadł Stanisław Szczepanowski, na wzgórzu jeszcze uprawiano pogańskie praktyki, choć po kryjomu. Dowiedział się o tym świątobliwy biskup w czasie jednej z podróży po diecezji i gdy znalazł się koło dzisiejszego Będzina, zawitał i na zglisko czeladzkie. Tu mu opowiedziano o dawnej kapliczce i złotym ołtarzyku. Szczepanowski nie namyślając się wiele wzniósł własnym kosztem nową kaplicę i polecił odszukać zakopany ołtarzyk. Na próżno jednak trudzono się, ołtarzyk przepadł i dotychczas leży wraz z innymi kosztownościami w pieczarze, która ma się znajdować głęboko w skale wzgórza kościelnego.

Nowa kaplica dała początek kościołowi i parafii czeladzkiej.

(Wg Mariana Kantora-Mirskiego. Z przeszłości Zagłębia Dąbrowskiego...)

⁽¹⁾ Narocznikami nazywano uczestników powstania pogańskiego przeciwko katolicyzmowi w latach 1034 - 1039.

O czeladzkiej szubienicy.

Z historii miasta wiadomo⁽¹⁾ „że właściciel Czeladzi Waclaw Cieszyński kontraktem kupno - sprzedaż z dnia 30 grudnia 1443 roku, oddaje miasto wraz z całym księstwem siewierskim Zbigniewowi Oleśnickiemu herbu Dębno, biskupowi krakowskiemu, za 6000 grzywien szerokich groszy czeskich, który znów darował je (wraz z księstwem Siewierskim) kapitule krakowskiej. (Od tej chwili Czeladź przez blisko 350 lat należała do udzielnego księstwa Siewierskiego, mając za zwierzchników biskupów krakowskich).

W niedługim czasie po podpisaniu wyżej wspomnianego kontraktu, Bolesław Opolczyk, brat Waclawa Cieszyńskiego, niezadowolony z transakcji najechał zbrojnie Siewierszczyznę i zagarnął Czeladź, którą przez trzy lata dzierżył jako najeźdźca. Dopiero przy pomocy wojsk królewskich została odzyskana, lecz mocno zrujnowana i wyniszczona. Zaledwie zabiły się rany miasta, gdy w latach 1450 - 1455 spadły nań kupy zbrojne grasantów śląskich: Jana z Welczyna, Włodka z Barwałdu, a potem Bolka V Opolskiego i Przemka z Toszku. W 1455 roku część Czeladzi spłonęła od ognia podłożonego przez bandy rozbójnicze Jurgi Stosa, grasanta morawskiego. Po tylu nieszczęściach znów miasto dźwignęło się z ruiny, po to aby w 1457 roku stać się pastwą rozwyrzonych watah Mikołaja Swieborowskiego...

Cóż, ciężkie, bardzo ciężkie to były czasy dla Czeladzan.

Wiadomo powszechnie, że zdziczenie obyczajów powoduje wprowadzenie obostrzonych sankcji. Tak też działo się na Siewierszczyźnie. Wypowiedziano grasantom bezwzględną walkę. Złapani na gorącym uczynku rozboju lub gwałtu grasanci byli doraźnie sądzeni i najczęściej wieszani. To też wśród grasantów, powstało owo słynne porzekadło:

„Kradnij, zabijaj

Lecz Siewierz omijaj.”

W tym właśnie czasie, w pobliskim Grodźcu, złapano lotrzyków i osądzono na śmierć przez powieszenie. Lecz jak wykonać wyrok, skoro biednej zniszczonej wsi nie stać było na zbudowanie szubienicy? Udano się więc do Czeladzi z prośbą o jej wypożyczenie.

Zebrała się tedy Rada Miejska, debatowano długo, by wreszcie posłom z Grodźca oświadczyć: - „Szubienice mamy, ale nie pożyczymy, bo szubienice mamy tylko dla siebie i „swoich dzieci.” -

Ta wersja obiegała całą Siewierszczyznę, i nie tylko...

Przetrwała w opowiadaniach wiele set lat. Czy tak było naprawdę?

Czeladzianie twierdzą, że tę wersję rozpowszechnili złośliwi Grodźczanie, albowiem ich odpowiedź była nieco inna, a mianowicie rajcowie czeladzcy, wprawdzie odmownie załatwili posłów z Grodźca, lecz uzasadniali swoją decyzję następująco: - „Szubienice mamy, ale Wam nie pożyczymy, bo by nam śmierdziała przez cały rok gnojem.” Była to aluzja do Grodźczan, którzy tylko z uprawy roli się utrzymywali, gdy natomiast wśród Czeladzan było wielu rzemieślników i przewoźników, a tylko nieliczni trudnili się rolnictwem. Słowem czuli się lepsi od grodzieckich chłopów.

Jak było na prawdę, trudno po wiekach dociec. Gwoli sprawiedliwości przytaczamy obydwie wersje tej sprawy.



⁽¹⁾ wg Kantora Mirskiego. „Z przeszłości Zagłębia” s.146.

Walka Czeladzan z hrabią Wojciechem Mieroszewskim w XVII wieku.

Kapryśna Brynica, co sobie gdzieś tam pod Ostrężnicą i Markowicami niedaleko Koziegłówek, ciureczkiem z dwóch źródełek wypływa, - co się za Bolka Chrobrego zwała „Brana”, a nieco później „Brzenica” lub „Brzeźnica” - stała się niejednokrotnie powodem kłopotów nie tylko sławetnych Czeladzan, lecz nawet walk, kończących się krwawo. Płynąc sobie niefrasobliwie, ot jak z bata strzelił, nagle podle Bobrownik zaczyna się wiercić i kręcić, bryzgnie wodą tu i tam, wyprostuje się krzywą na to aby też obok Wojkowic Komornych dostać „kręcka” prawdziwego. A potem, już nie ogląda się na nic - lunie wałem wody raz na pola Przelajki, lub Bańgowa, - drugi raz sprawi „śmigust” Czeladzi. Raz zabierze „rodowite” grunta Czeladzan, obdarzając Bańgowian, drugi raz odbiera „dar” i powraca prawowitemu właścicielowi. Po takim „kręcku” pozostawi po sobie, to tu to tam jakiś ślad, który otrzymuje w ciągu lat nazwę stawu, na przykład Osielec, Szczecinówka, Powietrzówka, Mośnia, Uzetka i tym podobne - stworzy ci kawałek roli co to ludzie ją nazwią „Niwa” lub „Spod Dębu” - ot robi się „piekło” z którego rozmaici „chciwcy” korzystają w te pędy, naturalnie z krzywdą Czeladzan. Czy dzisiaj tak jest, nie wiem, ale myślę że te „kapryśnice” trochę wały „saturnowskie” ujarzmiły i że dzisiaj tych zbereżnych tanów nie wyczynia jak drzewiej, w dawnych wiekach.

No ale przestaśmy obmawiać te naszą choć mętną, ale przecie piękną Brynicę, a zagłębimy do starych pergaminów. Noszą one datę 1624 roku zasypane nazwiskami znakomitymi, wysłanników Szyszkowskiego - biskupa krakowskiego i księcia siewierskiego. Widzimy na nim podpisy Pawła Garlińskiego, Andrzeja Łukowskiego - kanoników katedralnych, Stanisława Szyszkowskiego - starosty siewierskiego i wieluńskiego, Aleksandra Rychłowskiego - starosty sławkowskiego, Mateusza Wyciska - sędziego siewierskiego. Potem idą podpisy delegata króla polskiego Aleksandra Łukowskiego, pisarza województwa krakowskiego, Zbigniewa Bobrowskiego z Bobrownik, sekretarza królewskiego, Adama Andrzeja i Krzysztofa Zasławskich z Bebelna, Andrzeja Lipskiego z Miłowic, Andrzeja Borkowskiego z Przelajki, Marcina Skoroszewskiego - królewskiego celnika z Lelowa, Jana Błajskiego z Płaz i wielu innych. Następnie idą podpisy sławetnych Czeladzan. Szereg nazwisk zamykają przedstawiciele cesarscy: Baltazar Siemiński z Siemoni - pisarz księstwa Opolskiego i Raciborskiego, Wacław Kamiński ze Świętochłowic, Sebastian Trzcziński z Bytomia, Wacław Malerycki - pisarz księstwa Bytomskiego i szereg innych. W ariergardzie tych znakomitości kroczy główny sprawca i powód owego pergaminu, Wojciech Mieroszewski herbu Ślepowron, pan na Mieroszewicach, Bańgowie, Siemianowicach, dziedzic nieistniejących od 1588 roku Jakubowic, które miał jego poprzednik Mikołaj Mieroszewski ponoć otrzymać w roku 1498 jako dziedziczne od księcia Jana Opolskiego. Ów dziedzic obszernych włości, parafianin czeladzki, co to syna Stanisława, a potem wnuki swe: Elżbietę w 1659, Marię w 1660, Zuzannę w 1661, Michała w 1664 i Stanisława w 1669 chrzcil i zapisywał w kościele w Czeladzi, chciał skrzywdzić mieszkańców odwiecznego miasta, chciał zagarnąć dobra plebańskie, przesunąć granice księstwa siewierskiego na swoją korzyść. Nie udało mu się urwać cudzego mienia

w roku 1615, próbował po raz drugi szczęścia w 1624. Po jego stronie stanęli wszyscy niemieccy książęta śląscy, nawet sam cesarz, po stronie Czeladzi tylko słuszność z garścią mieszczan i powaga biskupa krakowskiego, poparte majestatem króla. O cóż to chodziło, że aż tyle znamienitych osób zgromadziło się w Czeladzi? O rzecz niewielką, bo o grunta Czeladzian, o grunta biskupie, o granice pod wsią Jakubowice, która w 1588 roku znikła z powierzchni ziemi, w czasie bitwy jaka zaszła tu między wojskami Maksymiliana austriackiego a polskimi oddziałami pod dowództwem rotmistrza Hałupka (Jakubowice leżały za dzisiejszą kopalnią „Saturn”). Grunta wymienione wraz z lasami, stawami, łąkami zagarnął zbrojno Mieroszewski, ponadto zabrał przemocą część stawu młyńskiego i role doń przypierające, a zwane „niwy”, zagarnął również część gruntów wójtowskich i grunta plebanów czeladzkich leżących poza Brynicą. Wpadłszy z kupą zbrojnych ludzi, przesunął kopce graniczne, a broniących swego miasta Czeladzian pobił, pokrwał i poranił. Na skutek skargi wniesionej przez biskupa krakowskiego, zjechała komisja aby spór rozsądzić. Zażądano od Czeladzian i pełnomocników kapituły krakowskiej dowodów na poparcie skargi. Przynieśli tedy ojcowie miasta przywilej lokacyjny wójtostwa czeladzkiego w którym przodek Wacława Cieszyńskiego obdarza wójta dziedzicznego Czeladzi 31 łanami roli z tej i tamtej strony Brynicy, przyniesiono pergamin Wacława Cieszyńskiego zezwalający miastu młyn na rzece Brynicy wybudować i urządzić staw po obu brzegach rzeki, dopuszczający obstać go tamami aż do drugiego brzegu; przedstawiono księgi własności, gdzie przedstawiono że role z tej i tamtej strony rzeki są własnością Czeladzian, że od wieków użytkują łąki, pola, lasy i stawy: Szczecinówka, Uzetka i Mośna, lasy przy Powietrzówce i las dębowy zwany „żydowskim” (z tego powodu, że tu obrabowano i zamordowano przejeżdżającego żyda, grzebiąc go pod dębem). Mieroszewski upierał się że to jego własność, a rzeka Brynica jest granicą. Postawił świadków, że most na Brynicy zawsze był naprawiany w połowie przez Czeladź w połowie przez Michałkowice. Sięgnął do „paktów będzińskich” z roku 1588, które ten most uznały za granice. Udowadniał, że wójt posiada więcej niż 31 łanów i że nadwyżka jest jego. Powoływał się potem na rozmaite kontrakty, na akt zamienny z dziedzicem Przelajki, zatwierdzony przez Jakuba Molszego - starostę siewierskiego i Mikołaja Ujejskiego - sędziego siewierskiego, wreszcie wyjął pergamin sprzedaży księstwa siewierskiego z roku 1443 i na treści jego udowadniał prawo własności. W ostatku zaczął grozić siłą zbrojną. W tej chwili Andrzej Łukowski - kanonik krakowski wniósł pretensje o zagrabione przez Mieroszewskiego grunta plebańskie dowodząc świadkowi, że Mieroszewski kazał przed niedawnym czasem kamienie graniczne przesunąć. Można pan uniósł się gniewem, zarzucił świadkom kłamstwo i zażądał przysięgi w kościele. Ruszyła komisja do fary czeladzkiej gdzie świadkowie kanonika Łukowskiego uroczyście przysięgli, że widzieli jak ludzie Mieroszewskiego przesuwali kamienie graniczne. Rozwścieklony Mieroszewski skoczył na konia i odjechał do domu.

Następnego dnia rozpoczął się pochód całej komisji wzdłuż spornej granicy. Idąc od Milowic, krok za krokiem Czeladzianie wskazywali miejsce dawnej granicy i resztki rozwalonych starych kopców granicznych, domagając się sprawiedliwości. Gdy znaleziono się na gruntach dawnych Jakubowic, Mieroszewski zaczął

wymyślać Czeladzianom od złodziei, rabusiów, gwałcicieli, zarzucając im że mu las wycięli. Czeladzianie pragnąc zakończenia sporu, nie odpowiedzieli na obelgi lecz chcieli iść dalej i wskazać granice. Mieroszewski jednak uparł się i zażądał zakończenia pochodu, gdyż według jego zdania sprawa została wyjaśniona. Delegaci cesarscy stanęli po jego stronie, orzekli że na przyszłość rzeka Brynica ma tworzyć granicę między posiadłościami Mieroszewskiego a gruntami Czeladziian. Oburzeni stronnością Czeladzianie odeszli do domów, zaś spór nie został zakończony. Przez kilka lat trwało zawieszenie broni, przerywane od czasu do czasu zbrojnym wypadem Mieroszewskiego. Po śmierci Wojciecha Mieroszewskiego wzniecił walkę z Czeladzią syn jego Stanisław. Nie mogąc zmusić Czeladziian do ugody, sprzedał grunta Jakubowic Hunterowi von Grandon, ten zaś widząc że kupił rzecz cudzą odstąpił ją hrabiemu Karolowi Józefowi Erdmanowi Henckel von Donnersmark. Nowy właściciel zarządził krucjatę przeciwko Czeladziianom, zajeżdżał ich grunta, grabił plony, wyrąbywał lasy i urządzał polowania. Od czasu do czasu czynił napady na spokojnych Czeladziian, dopuszczał się gwałtów areztując każdego kto się na swoim gruncie pokazał. Doszło do tego, że pola Czeladziian stały pustką, nieuprawiane i nieobsiane. Wreszcie wmieszał się w tę sprawę Władysław hrabia Erdödy, biskup z Neufry i casarski poseł na dworze polskim. Wniósł on skargę na Donnersmarka za gwałty i zbrodnie dokonane na Czeladziianach. Cała sprawa ciągnęła się dość długo, przeplatana napadami, aż została zakończona dopiero pod koniec XVIII wieku. Donnersmarkowie zostali zmuszeni do zwrotu zagrabionych własności Czeladziian.

O imci panie Józefie z Przelajki Kreczyku.

Pewnego słonecznego popołudnia w zimowy, grudniowy, niedzielny dzień roku 1683, szerokim traktem z Bytomia do Czeladzi wiodącym jechali konno czterej rycerze. Byli to: Michał Kreczyk z Przelajki, Hiacynt Błędowski z Błędowa, Trepka Kownacki i Jerzy Kotwicz z Pińczyc. Wracali z dalekiej wiedeńskiej króla Jana III wyprawy. Daleko za nimi ciągnęły wozy ładowne, wiozące żelazne zbroje rycerskie, pamiętne i sercu rycerskiemu bliskie, bo w niejednych zażywane bojach, a po ostatniej wiedeńskiej wyprawie pełne znaków i szczerb zaszczytnych od saraceńskiego oręża. W tej wiedeńskiej bitwie, imć Michał Kreczyk, ciężko ranny w pierś jataganem tureckim, w Wiedniu przez parę tygodni chory leżał gdzie go trzej mniej ranni przyjaciele opatrywali, a gdy do zdrowia powrócił, razem do swych rodzinnych stron ciągnęli. Dzień był cudowny. Po przeczystym błękie nieba bez chmurki płynęło słońce. Płaszczyzna pól, okrytych śniegiem, migotała milionami diamentów, szedł od niej taki blask, że trzeba było oczy mrużyć przed powodzią „światlnego migotania”. Po prawej stronie traktu stał w ciszę uroczystą wrośnięty las; od smukłych świerków których gałęzie obwisły pod ciężarem śnieżnego stroju kładły się na drogę siną granatowe cienie. Był mróz; śnieg chrząścił skrzypliwie pod kopytami koni. Kryształowa, niespożyta radość szła z ziemi roz-słonecznionej w serce człowiecze. Świeciła w duszach - w oczach rycerzy. Wracali do swoich siedzib w poczuciu szczęśnej radości z dokonania niezwykłego czynu. Wracali w glorii wiedeńskiego zwycięstwa, o którym wieść słoneczna jak wichler poszła dawno po całej polskiej ziemi. Nieśli w duszach wagę niezwykłych zdarzeń i wspomnienia wyniosłe wiekopomnego nad potęgą turecką zwycięstwa, przez które Polska uratowała byt chrześcijańskiemu cesarstwu.

Gdy trakt opuszczać się zaczął ku szerokiej dolinie Brynicy, ukazały się oczom jadących mury Czeladzi. Na drugim wyniosłym brzegu rzeki położone, domino-wało miasto nad doliną wysoko strzelając w niebo wieżą białego kamiennego kościoła; poniżej kościoła skupiała się gmatwanina łamanych podwójnych dachów gontowych, pokrytych śniegiem wyraziście popodkreślana cieniami płaszczyzn. Otaczający miasto od południa wysoki mur lśnił jasnością w ciągu długich wieków przez światło słoneczne wybielonych kamieni. Nie zboczył z traktu imć pan Michał Kreczyk do wsi Przelajka, gdzie czekał go rodzinny dwór - lecz wraz z przyjaciółmi pojechali prosto do miasta najpierw w kościele przed ołtarzem podziękować Bogu za powrót szczęśliwy i wtedy to, klęcząc przed ołtarzem, imć pan Kreczyk na znak kornej podzięk dla Opatrzności Boskiej, która mu pozwoliła wziąć udział w wiedeńskiej pełnej chwały wyprawie, i z tej wyprawy szczęśliwie powrócić - ślubował wybudować i urządzić przy kościele czeladzkim nową kaplicę. Ślubu dotrzymał. Wybudował piękną lewą nawę kościoła, zwaną odtąd kaplicą kreczkowską, sprawił do niej bogate trzy ołtarze i wyjednał u księdza biskupa krakowskiego, że do kaplicy mianował stałego kapłana który był na utrzymaniu przelajskiego dworu.

Imć pan Kreczyk zmarł w 1700 roku zostawiając pamięć dobrą po sobie. Pozostawił dwóch synów: Józefa - Konstantego i Jana - Jerzego, pomiędzy których

podzielił swoje włości. Starszy otrzymał Przelajkę i inne folwarki, młodszy Michałkowice z Chorzowem. Starszy syn nie poszedł w ślady ojca. Zawadiacki i awanturnik, człowiek niesłuchanie porywczy, dumny i bezwzględny, o niepohamowanym temperamencie, szlachcic hulaka, reprezentatywny przedstawiciel rodzącego się typu saskich czasów, pijanicy i warchoła. Otoczywszy się kompanią ludzi podobnego jak on pokroju, popełnił szereg zabójstw i gwałtów, a szczególnie znaną i głośną stała się nienawiść i długotrwała zwada z jego księdzem Stanisławem Heldt - Nawdziewiczem, proboszczem czeladzkim, obfitująca w szereg niebywanych incydentów. Skąd ta nienawiść poszła? Prawdopodobnie zrodziła się z drobnych sporów o administrację kreczykowskiej kaplicy. Przelajka należała do parafii czeladzkiej. Imć pan Józef Konstanty Kreczyk pamiętny na ufundowanie przez ojca swego kaplicy, chciał rządzić nią według swego upodobania, a kapelana traktował jak służącego. Nie dopuszczał do tego ksiądz kanonik Nawdziewicz i stąd waśń, która ze strony Kreczyka przerodziła się w dyszącą nienawiść i doprowadziła do popełnienia szeregu gwałtów, o których dużo i obszernie mówią stare czeladzkie akta miejskie, spisane przez ówczesny urząd radziecki. Dajmy teraz głos tym ludziom sprzed dwóch wieków, którzy tak oto w spisany protokół o jednym z najjaskrawszych gwałtów imć pana Kreczyka opowiadają: - „Roku pańskiego 1714, dnia 19 marca w sam dzień uroczystości świętego Józefa, w kościele naszym farnym, czeladzkim rzecz niesłychana i wielkiego zgorszenia a karania godna stała się. Imć pan Józef Kreczyk z Przelajki po pierwszej mszy wotywie, poszedłszy przed zakrystię oraz z Jejmością swoją Ludwiką z Perów Kreczykową podczas różańca *publice* odprawiającego się, niby na czynienie spowiedzi świętej tamże przed wielkim ołtarzem imci księdza Barańskiego, prebendarza i alterystę tegoż kościoła czeladzkiego opadli. Osobliwie imć pan Józef Kreczyk z furją i popędlivością niechrześcijańską, ująwszy się za szablę, którą przy boku miał, głosem wielkim rzekł do kapłana: - Czemuż mnie spowiedzi nie słuchasz księże? Toś innych słuchał i komunikował. Ksiądz Barański spokojnie odpowiedział: *aprobacja moja ekspirowała* i słuchać teraz aż insza nadejdzie udzielić spowiedzi nie mogę. „Potem tenże Imć Pan Józef Kreczyk furją i raskorem dawnym a często *publice* w kościele naszym pokazanym uwiedziony do zakrystii tego kościoła gwałtownie dobierać się począł choć kilka razy upomniany był od księdza Alterysty, aby tam nie szedł teraz i poczekał gdyż imć ksiądz Prałat słuchał tam spowiedzi człowieka ubogiego Szewiotczyka z Siemianowic, głuchego. „Z tem wszystkim imć pan Józef Kreczyk, nieposkromiony w furii swojej, gwałtem drzwi do zakrystii wyparłszy wpadł tam z impetem niepohamowanym, Prałata naszego, spowiedzi słuchającego skonfundował i ręką bezbożną targnąwszy się, uderzył w twarz, tak że krwią Ksiądz Prałat spłynął. „Takie *ansum sacrilegium* w kościele *publice* popełniwszy, imć Pan Kreczyk wypadł z szablą dobytą na kościół za Prałatem naszym uchodzącym, gdzie *cum scandalo et terrore maximo populi*, którego pelen był kościół, znowu na Prałata naszego protestującego o tak wielką zniewagę Domu Bożego i osoby kapłańskiej, powstał z tumultem wielkim aż ksiądz Prałat za drzwi poboczne, na chór uskoczył i te za sobą zamknąwszy, na poły martwy, zemdląły będąc, po nas, urząd miejski czeladzki i pisarza przysięgłego co prędzej posłał. „Przed nami tedy Urzędem i Radą a pisarzem przysięgłym miejskim

Czeladzkim, Księstwa Siewierskiego takową solenną *in loco flagrantis delicti* czyni manifestacja pominięta wyżej Imć Ksiądz Stanisław Heldt Nawdziewicz, kanonik katedralny chełmski i opatowski, a prałat kościoła naszego farnego czeladzkiego pod obecność wielu ludzi w kościele wtedy zgromadzonych i godnych wiary, tak stanu szlacheckiego jako miejskiego i pospolitego. Tu występuje w protokole wymienienie nazwisk obecnych osób i opis powyższego wypadku i dalej czytamy: „Tedy Imć Ksiądz Kanonik nasz na pomienionego Imci Pana Józefa Kreczyka protestuje się i na dokument *sceleris*, szabłą własną Imci Pana Kreczyka którą lud pospolity broniąc swego pasterza z ręki mu wydarł, tamże w kościele przed urzędem naszym prezentują. I dalej akt kończy się zdaniem: „Którą swej manifestacją jako rzecz słuszną *et in defectu legitimi fori cremen lasae Majestatis*. O winie widząc oraz zelżywość jawną i publiczną wszystkim wiadomą, do akt naszych miejskich radzieckich i burmistrzowskich wespół z dawniejszymi manifestacjami - przez tegoż Wielmożnego Imci Księdza Kanonika katedralnego chełmskiego i opatowskiego, prałata naszego czeladzkiego przeciwko Imci Panu Kreczykowi z Przelajki poczynione, przyjmujemy, *ingrossujemy* i każdemu *subselitium* komu tylko wiedzieć należy do wiadomości podajem. Następują podpisy burmistrza Kosmałskiego, pisarza Rembińskiego, księdza Barańskiego, sławetnego Przybylskiego Józefa na Olszowicach i Wrocimowicach Paczka towarzysza pancernego kompanii księcia Imci Janusza Wiśniowieckiego, wojewody krakowskiego Sebastiana na Zakrzówku Tomaszewskiego i pani Heleny Condrott porucznikowej regimentu księcia Imci Lubomirskiego starosty bogusławskiego. Protokół powyższy wraz z pisarzem księdza kanonika Nawdziewicza wysłany został do decyzji księdza biskupa krakowskiego i oto książę biskup Michał ze Słupowa Szembek rzuca na Imć Kreczyka za gwałt powyższy klątwę. Ekskomunika podziałła ogromnie na Imć Kreczyka. Odsunęli się od niego wszyscy. I to wreszcie nieustępliwa, dziką naturę warchoła złamało. Zaczął pisać do księdza Nawdziewicza listy błagalne z prośbą o przebaczenie, starając się ująć księdza uprzejmością. W jednym z listów datowanych z Przelajki 5 kwietnia 1715 roku pisze, że wydał polecenie swoim poddanym, aby skrzętnie należną księdzu dziesięcinę odliczyli i sami do stodół księdza odwieźli, poczem prosi: „jako najuniżeszszy *suplex* upraszam abym otrzymał zniesienie klątwy z rąk pasterskich do których się *errapu* rad oddaję owis i modlitwom jego świętym polecam, będąc Wielmożnego Wam Dobrodzieja uniżonym sługą. List nosi charakterystyczny adres. „Wielmożnemu a Przewielebnemu Mojemu Wielce Mościemu Panu i Dobrodziejowi jego Mości Księdzu Stanisławowi Heldt Nawdziewiczowi, kanonikowi chełmskiemu, opatowskiemu, Plebanowi czeladzkemu, Św Teologii Doktorowi a memu wielce Mościemu Dobrodziejowi do oddania w Czeladzi.”

Nie doczekał się jednak Imć Pan Kreczyk z Przelajki za życia przebaczenia, któreby mu zapewne ksiądz kanonik wyjednał u księdza biskupa. Tknięty apopleksją zmarł w końcu 1715 roku. Pochowany obok muru cmentarnego długo pozostał Imć pan Kreczyk w pamięci ludzi jako groźne i przykre wspomnienie; straszły nim niańki dzieci nieposłuszne a starzy w długie wieczory zimowe przypominali o jego czynach, kończąc pogwarki westchnieniem i zdrowaśką za spokój duszy błądzącej, aby losowi jej jaśniej się stało na drugim duchów świecie.

Antoni Rączaszek



O tem jak zli sędziowie niewinną na śmierć skazali i jako sami za to ukarani byli. O domniemanej czarownicy Katarzynie Włodyczkowej - opowieść.

Tłumnie jak nigdy - było na sumie w kościele farnym w Czeladzi w oną niedzielę 24 grudnia 1741 roku. Poza mieszczaństwem zeszło się mrowie ludu z Miłowic, Siemianowic, Sosnowca i Przelajki, a nawet ze wsi dalszych, do parafii należących. Dzień był śnieżny i luty mróz mocno się ludziom we znaki dawał. Od wieczora poprzedniego, wigilijnego dnia, szalała zadymka i wichur niósł nad światem gęstą kurniawę śnieżną, ścieląc biały całun na pole i lasy, na wsie i miasta. Zawiało drogi, zagrody i domostwa wyglądały jak kopy śnieżne, zrównało uliczki miast prawie z okapami niskich drewnianych domów że na głos dzwonek u sanki trzeba było z małych okien w górę spoglądać aby zobaczyć kto drogą sunie. Nad ranem jednak śnieg przestał kurzyć, wichur ucichł, nad ziemią zastygł luty mróz pod czarnem schmurzonym niebem. Ludzie przychodzący z dalszych wsi, przebrnąwszy kopne drogi, chętnie wstępowali w furtę kościoła, a wieczny półmrok naw, rozjaśniany słabo migotliwymi płomykami świec. W kościele było pełno. Stare mury, pamiętające czasy Jagiellonów, nie widziały dawno takiego tłoku. Po przez ciżbę, wypełniającą kościół, szedł niezwykajny zciszony szept, stłumiony pogwar jakowychś cichych zapytań, utyskujących zadziwień, często grozą mroczną przejętych słów. Choć nabożeństwo trwało, uwaga w inną zwracała się stronę. Oczy zebranych w kościele spoglądały z uporczywym zaciekawieniem na klęczącego w prezbiterium pod murem człowieka. Pomimo tłoku, koło klęczącego mężczyzny było pusto, ludzie trzymali się w oddaleniu, jakby nie chcąc się do niego zbliżyć, jakby jakaś siła niesamowita postawiła dokoła zaporę, wyłączając go ze społeczności. Widać było, że oto coś zawisło nad nim, coś, co wyłącza z gromady, co niejako od niej odrzuca i piętnuje... Klęczący był barczystym mężczyzną, o krwisto sinej szerokiej twarzy. Klęczał przygarbiony. Twarz to nabiegała mu krwią, to bladła a wpadnięte w głąb czaszki niedobre oczy biegały niespokojnie, a czasem trwożnie uciekając od spojrzeń ludzi ku murom i oknom kościoła, to znów - i często patrzyły z uporem w ziemię. Klęczącym człowiekiem, skupiającym na sobie zainteresowanie powszechne, był landwójt czeladzki, Sojecki, skazany na pokutę kościelną za wydanie wyroku śmierci na Katarzynę Włodyczkową z Czeladzi, oskarżoną jakoby o czary. Domniemaną czarownicę sprowadzony kat ściał, a kiedy na interwencję jej synów delegowany przez księcia biskupa Krakowskiego sąd komisarski zbadał na miejscu, orzekł, że Włodyczkowa stracona została niewinnie, przez złość jeno landwójta i ówczesnego burmistrza miasta. Na Sojeckiego nałożono tedy między innymi karę kościelną, a że dziś była pierwsza niedziela odbywania przez niego pokuty publicznej, dlatego tyle ludu się zeszło, bo historia stała się głośną w okolicy. Zaciekawienie było ogólne. Siedzący w ławach katorskich sędziwy już imć pan Józef Paczek, towarzysz pancerny kompanii księcia Janusza Wiśniowieckiego wojewody krakowskiego, dziedzic Miłowic, który dopiero przed dwoma dniami przybył z Warszawy, aby święta u siebie spędzić - rozpytywał ciekawie sąsiada Imć Sebastiana Tomaszewskiego z Wojkowic o Sojeckiego i jego sprawę. To też skoro suma się skończyła Imć Tomaszewski i Paczek



poszli do zakrystii kościelnej przywitać proboszcza i o sprawę Sojeckiego zapytać. Ksiądz kanonik Koniecki chętny zawsze do gawędy i ciekawy też wieści ze świata - Imć Paczka i Tomaszewskiego na plebanę zaprosił. Przy obiedzie akta przyniósł i o sprawie Włodyczkowej z przejęciem ją opowiadać: - Wiecie Ichmościo-
wie, że wiele rzeczy widziałem na świecie, jako żem człowiek już stary i bywały. - Ale takiego *latrocunium*, jako ono teraz w Czeladzi nie widziało mi się widzieć. Mieszkała tu na podwalu wdowa już stara i zasobna Włodyczkowa Katarzyna, kobieta prawdziwie swarliwa wielce, niezgodna, wiecznie z sąsiadami w niezgodzie. A już się jej bali potrosze, bo pomawiali ja o czary, o uroki, o zamówienia. Sąsiad jej, Sojecki, landwójt, pijanica wielki z którym się ciągle swarzyła, dobrał sobie kompana godnego - Żądlińskiego burmistrza i Włodyczkową pozwali przed sąd grodzki, przysiężny, o czarostwo i gusła. A to, że uroki i choroby na ludzi rzuca, że krowom mleko odbiera, że zioła dziwne warzy, że po nocach niewiada gdzie - polami chadza - ze złem może gada. - Wiadomo - choć złe różne bywa na świecie, a diabeł nie śpi - przecież Włodyczkową niesumieinnie sądzili, bo choć była swarliwa przecie katolicka - i do spowiedzi chodziła. Uwzięli się na nią, a że chytrzy na jej chudobę byli zrobili swoje. Przeczytam waszmościom *protocullum* komisarzkiego sądu, z którego ano całą sprawę ujrzycie. Komisarz Księcia Imci - ksiądz Marek Laskowski officjał wiślicki - zostawił mi kopię onego. Tenor protokołu taki: - Przedemną niżej na podpisie ręki mojej, nie tylko dóbr Jaśnie Oświeconego Jana Aleksandra Kardynała Lipskiego, Biskupa Krakowskiego, Księcia Siewierskiego, ale też do sprawy niżej opisanej *specialiter* deputowanym Komisarzem na terminie dzisiejszym z pozwu *intimowanego* przypadającym, stanęli personaliter: Szlachetny Jakub Cybulski imieniem Wielebnego Instygatora Sądów Nadwornych Actora, tudzież uczciwi Wojciech i Jakub Włodyczkowie, bracia rodzeni, synowie uczciwej niegdy Katarzyny Włodyczkowej, przez Urząd obojga miasteczka Czeladzi na śmierć jakoby o czarostwo, gusła i zabobony przez się popelnione - dekretowanej. Powyżsi upraszali o zafundowanie jurysdykcji⁽¹⁾ komisarzkiej i osądzenie sprawy *ex re Masione Curiae Eminintessimi*.⁽²⁾ „Działo się to przy obecności urodzonego Antoniego Nieczni Łukawskiego wójta wójtostwa w miasteczku Czeladzi, kłucza Siewierskiego, Sojeckiego landwójta, Wojciecha Żądlińskiego burmistrza, Włodyki, Pawlika i Kręciszka, radców Jana Biegusa, Stanisława Łakomika, Wojciecha Szafranca, Jana Wyrwały, Łukasza Sztucznia przysiężonych i Wojciecha Twardziszewskiego Instygatora, na fundację jurysdykcji dobrowolnie zezwalających. „Ja tedy komisarz usłyszawszy intencją *actorów* i dobrowolnie zezwolenie pozwanych akt niniejszej komisji, *Auroctitate Eminentissimi Cardinalis in Dei Nominē*⁽³⁾ zafundowałem i stronom do propozycji sprawy przystąpić nakazałem. „*Tandem ut supra Plenipotent Instygatora Curiae Eminentissimi* tudzież uczciwi Włodyczkowie *Actorowie* oświadczyli że urodzony Imć Pan Łukawski dekret w kryminalnej sprawie *preacipitanter*⁽⁴⁾ podpisał, nieczytając prawa z inkwizycji, szczególnie *ad simplicem narrationem*⁽⁵⁾ Landwójta i Urzędu czeladzkiego, że dekret ten aprobował i do egzekucji przyprowadzić zezwolił. Sławetny zaś Landwójt, Burmistrz, Radni i Przysiężni niesłusznie, bez doskonałej inkwizycji i dowodów i często po pijanemu sprawę kryminalną Katarzyny Włodyczkowej z zawziętości i czuwając na jej fortunę sądzili. Osądziwszy *facter Qualiter*⁽⁶⁾ dekret *ad executionem*⁽⁷⁾

przez ścięcie niewinnie obwinionej przeprowadzili, rzeczy jej ruchome, krowy, zboże, naczynia na pijaństwo i kata niektóre nocnym sposobem, niektóre *publice* we dnie pozabierali *et alias crimina*⁽⁸⁾ popełnili. Zarzutom tym wyżej wyrażeni negowali. - Ja tedy komisarz po wysłuchanych kontrowersjach z obydwu stron ante omnia⁽⁹⁾ dekret kryminalny w sprawie niniejszej przez Urząd Czeladzi ferowany przeczytawszy, do wypełnienia propozycji terażniejszych przeciwko pozwanym przystąpiłem. Z których inkwizycji lubo nie pokazuje się aby Imć pan Łukawski wójt uprzywilejowany miasta Czeladzi na sądy w sprawie *ut supra* ktyminalnej zasiadał, lub inkwizycji słuchał, tylko *preacipilanter* napisany dekret na Katarzynę Włodyczkową in fidem⁽¹⁰⁾ Landwójta i Urzędu miejskiego czeladzkiego podpisał i aprobował. Ze sprawy tej jednak wprzód do Sądu Duchownego *pro cognitione*⁽¹¹⁾ czyli o prawdziwe czary, czyli też o gusła tylko i zabobony Włodyczkowa obwinioną była - nie odesłał. Tudzież, że takiego Landwójta, prawa nieumiejącego i nieczytającego, pijaństwem częstym bawiącego się na urzędzie trzyma i onemu ufając w sprawie ważnej bo kryminalnej, dekret, nie czytając inkwizycji, podpisał i do egzekucji przywieźć pozwolił. „Więc stanowią, aby *in expatione*⁽¹²⁾ do kościoła tutejszego farnego grzywien 50 w sześć tygodni *a decreto preasenti*⁽¹³⁾ zapłacił a czem ksiądz Pleban Instygatora i kancelarię Książęcą Biskupa zawiadomić będzie powinien. Gdyby zaś Imć pan Łukawski lub jego na wójtostwie sukcesor wyrok w sprawie kryminalnej bez dojrzałej rozważki i inkwizycji słuchania podpisać ważył się - od wójtostwa odsądzony i z pozbawieniem przywilejów sądzony będzie. Co zaś do Urzędu miejskiego Czeladzi, ponieważ urząd, a osobiwie *principaliter*⁽¹⁴⁾ jako Bartłomiej Sojecki landwójt i Żądliński burmistrz Włodyczkową sądzili dla fortuny i zabrania rzeczy, które Landwójt po kilka razy tako we dnie jak i w nocy, póki w więzieniu siedziała zabierał i na pijaństwo i swoje potrzeby obracał, oraz dla prywatnej zawziętości niewinną skazali, choć żadnych formalnych czarów jeno prawie gusła i zabobony wywiedli o której zupełnej inkwizycji wyprawionej nie było, bo tylko po jednym świadku na każdy punkt, a jeszcze te inkwizycje niektórzy świadkowie potem odwołali dodając, że tego nie zeznawali, co Żądliński, będąc oraz pisarzem w protokule pisał. - „Więc lubo ci dwaj pryncypialniejsi jako sam prawie *delatores, indices et causatores*⁽¹⁵⁾ śmierci straconej Włodyczkowej *criminaliter* sądeni być powinni, to jednak sąd niniejszy komisarzski duchowny nie może onych *criminaliter ad poenam sanguinis*⁽¹⁶⁾ sądzić, więc od *poenas ciwiles* decyduje i nakazuje aby sławetny Landwójt Sojecki grzywien 60 zapłacił i w więzieniu przez dwa miesiące *continuo* za kłódką w ratuszu od dnia dzisiejszego, jak wzięty jest - siedział, po wyjściu zaś z więzienia *publice* w kościele farnym ze świecą w każdą mszę wielką *alias* sumę w święta i niedziele *sumiliter* przez niedziel osiem klęczał. Imci Księdzu Kommendarzowi Kościoła tutejszego *deprecjacje*⁽¹⁷⁾ solenna uczynił przez dwie osoby, jedną duchowną, to jest plebana poblížszego, drugą świecką to jest szlachcica posesjonata, za to, że go lżył, kiedy mu perswadował w tej sprawie - oraz aby do kościoła wosku funtów dziesięć oddał. *In futurem* zaś, aby do wszelkiego urzędu tak radzieckiego tudzież landwójtowskiego ani pisarstwa ani *witae tempora* nie należał i był dopuszczony. - „Sławetny zaś Żądliński burmistrz grzywien 50, więzienia przez niedziel sześć *continuo* za kłódką siedział. Po wyjściu z więzienia publicznie w kościele farnym ze

świecą w każdą mszę wielką w niedziele i święta *similiter* przez niedziel sześć kłę-
czał. In futuram także aby do wszelkiego urzędu tak radzieckiego jako i pisarstwa
ad vitae tempore nie należał i był dopuszczony. Józef Włodarczyk radca, ponie-
waż będąc krewnym Włodyczkowej, oney nie bronił, owszem sam na nią senten-
cję dał - grzywien 30 i więzienia przez tydzień. Pawlik radca grzywien 16, Kręci-
szek radca *exquo* perswadował Urzędowi *civilibus poenis* Włodyczkowa karana
była, grzywien 12. Przysiężnych zaś sześciu, każdy z nich po grzywien dwanaście
- przypada na wszystkich grzywien siedemdziesiąt dwie - aby do rąk Józefa Wło-
dyki najdalej na święto Trzech Króli nadchodzącego roku wpłacili. - „Które grzywiny
sławetny Józef Wodyka odebrawszy tak dysponować i wypłacić powinien: na re-
perację zamku siewierskiego grzywien trzydzieści, sukcesorom straconej Włodyczko-
wej *alias* synom *pro capite*(18) matki straconej grzywien pięćdziesiąt. I tem tymże
sukcesorom za bydło i rzeczy przez urząd zabrane tudzież na kosza prawne grzy-
wien stopięćdziesiąt. Oraz Reginie Włodyczkowej, siostrze skazanej za rzeczy które
jej relegowała Katarzyna Włodyczkowa grzywien dziesięć”. - Na tem skończył
ksiądz Konecki czytanie protokołu. Długo jeszcze prowadzili rozmowę aż noc za-
padła i mrok gęsty okrył ziemię, tem gęstszy, że zerwał się wiatr i znów śnieżycą
rozroszyła się nad światem. Późnym wieczorem wracał Imć Paczek z Milowic, za-
kutany w szeroki tołub, kryjąc się w futro przed mroźnym przemożnym wiatrem.
Dźwięczały dzwonki sań a para tęgich koni popędzanych przez woźnicę szła
szparko po puszystym nietkniętym śniegu. Aż gdzieś pod Borzechą wjechali
w śnieżne zasy i konie przystały na chwilę. Woźnica zszedł z sań by przejrzeć
drogę. W chwili pewnej Imć Paczek posłyszał nagle jakowyś klangor dziwny, jakby
do odległego tonu dzwonów kościelnych podobny. Gdzieżby zaś o tej porze
dzwonili? Od razu też przypomniał sobie opowiadaną powszechnie legendę, że
na łakach wójtowskich nad Brynią coś straszy, a po nocy odzywają się tam nie-
wiadome dzwony. W tej chwili wrócił stary Wojciech - woźnica i spytał: Słyszał
Wielmożny Pan dzwonienie kajsi? - Słyszałem. - Kajsi na wójtowskich łakach? -
Imć pan Paczek niejednemu lichu w oczy zaglądał, wiedział że lepiej się przed
złem zabezpieczyć - przeżegnał się tedy pobożnie. Aż i konie marznąć zaczęły,
zrywać się niespokojnie i zachęcone wreszcie przebrnęły zaspę. Sanie znalazły się
na równej drodze. Pojechali.

A. Rączaszek

- (1) przeprowadzenie dochodzenia i sądu.
- (2) na podstawie delegacji kurii biskupiej.
- (3) powagą kardynała w imię boże.
- (4) pośpiesznie.
- (5) na podstawie zwyczajnej namowy.
- (6) jako tako.
- (7) do wykonania.
- (8) inne zbrodnie.
- (9) przede wszystkim.

- (10) na wiarę.
- (11) na rozpoznanie.
- (12) na zadośćuczynienie.
- (13) od niniejszego dekretu.
- (14) ważniejsi.
- (15) donosicieli.
- (16) na karę krwi.
- (17) przeproszenie.
- (18) za głowę.

Dlaczego starzy Czeladzianie „czedzą” i „szeplenią”.

Zaczął się to na początku XIX wieku. Po śmierci księdza Laurentego Hechthausa nastąpił ingres (wprowadzenie) nowego proboszcza księdza Jakuba Krupińskiego, który długo, bo przez 41 lat rządził duszami Czeladzian, a także plebańskim folwarkiem. Mądry to był ksiądz, to też wkrótce zaskarbił sobie serca parafian, cieszył się ich szacunkiem i sympatią. Ten to proboszcz prowadził wieloletnie spory o „świętopietrze” z właścicielem Sielca, byłym generałem pruskim, księciem Schimmelpfenigiem von der Oye i sprawę wygrał. On to egzaminował nauczycieli szkół parafialnych, nadając im patenta w imieniu Komisji Edukacji Narodowej, on to wprowadził zakaz żenienia się Czeladzian między sobą, on to wreszcie zadbał o czystość rodzinnego języka...

Wychowanego gdzieś w Warszawie księdza niemiłosiernie raziło seplenienie miejscowych mieszczuchów. A oni mówili przecież tak, jak wszyscy wokół, jak mówiono w dawnym księstwie siewierskim. („Wszystkich celadzian Swedy wyrzneli” - oto mała próbka tego gadania, relacjonująca najazd Szwedów na Czeladź). Zastanawiał się tedy proboszcz, jak oduczyć swoich Czeladzian tego seplenienia, bo nie mógł przecież ambitnym mieszczuchom wprost powiedzieć, że źle mówią. Obraziliby się. Myślał, myślał i wymyślił...

W pewną niedzielę, na kazaniu, opowiedział Czeladzianom przypowieść ze Starego Testamentu „O Jozue i sędziach:

- „Jefte, wódz Gileadczyków odniósł zwycięstwo nad Efrainitami. Po zwycięstwie Gileadczycy obsadzili wszystkie brody Jordanu, by nie przepuścić pobitych Efrainitów. Zjawiali się oni w pojedynkę, mówiąc że są synami innych plemion izraelskich. Ale Gileadczycy wiedzieli, że Efrainici seplenili i nie umieli wymówić spółgłoski „sz”. Na ich żądanie, każdy z niedobitków musiał wypowiedzieć słowo „szibbolet” (kłos), a gdy wyszło mu „sibbolet”, ginął od miecza lub włóczni. W bratobójczej wojnie poległo czterdzieści dwa tysiące Efrainitów”. A wszystko dlatego, że seplenili, że nie umieli wymawiać „sz”. Tak samo jak wy Czeladzianie - zakończył swoje kazanie ksiądz proboszcz.

Wrażenie było ogromne. Rajcowie miejscy poświęcili tej sprawie jedną ze swych narad, zobowiązując mieszczuchów do poprawnego wypowiadania się. Dowcipny, miejscowy organista ukuł na ten temat dwuwiersz:

„Kto nie będzie umiał mówić „szy”

Tego zjedzą wszy” - niby, że może zginąć między ludźmi, jak prostak niedouczony.

Czeladzianie przestali seplenić, zaczęli mówić coraz poprawniej. Ale jak to u Czeladzian bywa, z czasem przedobrzyli sprawę. Po paru latach wynik tej proboszczowskiej „nauczki” był wprost niewiarygodny. Używano „sz” i „cz” tam, gdzie było to konieczne ale także i tam gdzie takiej potrzeby nie było. - „Sztefek, szmyczkiem go, bo to czudży” - to było hasło do „wyproszenia” z rodzimej karczmy niepożądanych przybyszów. Między sobą opowiadali o tem, jak „Nieszporka szkrobneło, gdy mu worek oszkrabin szmyki szkradli”. Cóż, wymawianie „s” i „c” jako „sz” i „cz” należało od tej pory u Czeladzian do nadzwyczaj dobrego tonu. Kto

lepiej „czedził” lub „szeplecił” ten większą był otaczany powagą. Okoliczni mieszkańcy uważali nawet, że nadawane Czeladzianom przezwisko „Szwedzi” wywodzi się od „swędzi” po czeladzku wymawianym. Kto wie?

Było, minęło.

Wymieniła się w międzyczasie ludność Czeladzi. Dużo w niej przybyszów czyli „ptaków”. Czasem tylko, w rozmowie starych czeladzian między sobą, dosłuchać się można echa dawnych naleciałości gwarowych.

Opowiadanie dziadunia - o wojnie Napoleońskiej

Ciemno wokół, zmrok już zapadł,
Wiatr za oknami jęczy, wyje,
Trzęsie światem - deszcz zacina,
O okienka szybki bije.

Przed kominkiem w gronie wnucząt
Siedzi starzec, człowiek siwy,
Duma czegoś, patrzy w ogień,
Nic nie mówi, jak nieżywy.

Rój dzieciaków, milcząc siedzi
Myśląc: czego dziadzius miły
Dziś markotny - wtem starcowi
W oczach dwie łzy zaświeciły.

Smutno dzieciom się zrobiło,
Więc spytała wnuczka mała
- Dziadziu! dziadziu? czegoś płakał?
- Przeszłość mi się przypomniała!

Posłuchajcie, to wam powiem,
Jakie dawniej były czasy
Opowiem wam dawne dzieje
Które dziś mię tak wzruszyły.

Upłynęła siła czasu,
Przeszło latek już niemało
Więc słuchajcie a opowiem
W owe czasy jak bywało.

Wicher wtedy jęczał straszniej,
Tak jak teraz oto wyje,
Czasy takie - człek nie wiedział
Czy też jutra choć dożyje.

Umilkł starzec - w chacie cisza,
Tylko słyszeć wicheru wycie
Cicho dzieci siedzą - tylko
Słyszeć deszczu w okna bicie.

Cicho siedzą przy ognisku,
Starzec milcząc się poprawi,
W tabakierkę brzęknie głośno
I gawędę dalej prowadzi.

W wojsku byłem i w mundurze,
Hej, z szabelką na koniku,
Zawsze wesół, zdrów i czerstwy -
Hej! Stoczyłem walk bez liku!

Byłem młody, zdrowy, rześki,
Silny, czerstwy, wesół, dziarski,
Mężny w boju, niezwalczony,
Jakby konfederat barski!

Po tych słowach, jakiś dziwny
Przyozdobił blask mu lica,
Dzieci milcząc, wciąż słuchały,
Aż jaśniały im źrenice.

Otóż - ciągnął dalej stary, -
Jakby coś przypomniał sobie -
Działo się to w taki sam czas,
W takiej, jak teraz dobie.

Szliśmy wtedy drogą z Moskwy
Przez śnieg, wichry i zawieje,
Bez porządku i bez szyku, -
Człek krok stąpi - już się chwieje.

Zziębli, głodni i zmęczeni
Wracaliśmy, Jezu miły,
Z całej armii kilka pułków
Straszne mrozy ją zgnębiły...

My, zwycięscy w tylu bitwach -
Pułki głodne i obdarte
Szliśmy, szliśmy, bo uchodził
Sam nasz cesarz Bonaparte.

Idziem, idziem tedy drogą,
Moskale nas otoczyli
Padł mój kamrat... chciałem pomścić,
Wtedy nogę ustrzelili...

Straszna, straszna była bitwa
I krwi dużo się wylało!
Ja upadłem - i nie pomnę
Co się potem ze mną działo.

Gdym do siebie przyszedł nieco,
Patrzę, leżę już na wozie,
Szczęście, szczęście, bo inaczej
Byłbym zasnął w strasznym mrozie.

Kolega mi opowiadał,
Że Moskali odpędzili,
Że natłukli sporo naszych -
Franka brata mi zabili...

Dużom jeszcze cierpiał - z naszej
Tylkom wrócił ja gromadki,
Tylko jeden przy pomocy
Bożej, wrócił do swej chatki.

Na kominku ogień już zgasł,
Każde z dzieci się wsluchuje
W słowa dziadka - a wtem zegar
Północ, północ już wskazuje.

Spać już dzieci - dziadek rzecze
Jutro powiem jakie wieści,
Dziś spać pora - jutro znowu
Będę prawil wam opowieści.

Czeladź, 26.03.1912r

Roman Musialik

Imć pan podporucznik Twardowski o duchu w Czeladzi.

Co się działo przed 150 laty w domu „Wójtostwo” zwanym i ile mieli kłopotu z mocą niewidzialną „godnej wiary obywatela.”

Wśród wielu dokumentów z odległej przeszłości znaleźć można również „Krótkie opisanie zjawiska w miasteczku Czeladź w domu imć pana Borkowskiego, urzędnika skarbowego, wydarzonego w roku 1825 w miesiącu listopadzie przez Kazimierza Twardowskiego, podporucznika sztabu kwatermistrzowskiego wojska polskiego zdziałane.” A trzeba wiedzieć, że imć pan nadstrażnik skarbowy Borkowski z małżonką swoją i córką w tym czasie „w domu Wójtostwo zwanym mieszkał”, którego to domu już dziś nie masz. Zasię podporucznik sztabu kwatermistrzowskiego pan Kazimierz Twardowski w sprawach służbowych w Czeladzi bawił i na dziwne perypetie z racji mocy niewidzialnej się naraził, co później znając arkana nadobnej sztuki pisarskiej, dokumentnie opisał i *coram populo* na wieczną rzeczy pamiątkę ogłosił, a że muzy obdarzyły go polotem poetyckim przeto składnym dwuwierszem swe „krótkie opisanie” rozpoczął.

„Kto docieka Wielkości
ukrytej przed Nami
Żyć musi w niepewności
i ciągle się mami.”

Imć panu podporucznikowi, człowiekowi oglądzonemu w świecie i bywałem, nieobce były dzieła filozofów i może się nawet w Wolterze zgłębiał, a niewiadomo czy i do loży masonskiej nie należał, przeto z wielkim wzdraganiem brał się do pisania w obawie narażenia się na śmiech ludzki. Ale że to był świadkiem dziwnego zjawiska i miał głębokie przekonanie o prawdziwości zdarzenia wreszcie z nakazu „Mocy niewidzialnej” dokonał opisania, choć jak sam mówi wielkość i niezwykłość objawienia się ducha „wytrąca pióro z ręki moyey, które wraz ze mną, czując się być slabem, od wielu zapewne wyszydzonem zostanie w wieku tak oświeconem.” Nie trzeba broń Boże sądzić, aby imć pan Twardowski był zupełnym ateuszem, bo pamiętał on nauki moralne swego siwowłosego ojca, który mu mówił o życiu pozagrobowym, a że pan porucznik do ojca swego wielki szacunek żywił, przeto na dnie duszy coś niecoś z nauk rodzicielskich pozostało. Wiadomo jednak, że młodość płocha jest i nierozumna a w wieku tak oświeconym” chętnie słucha nowinek cudzoziemskich i bezbożnych. Słuchał ich także podporucznik sztabu kwatermistrzowskiego i dopiero zetknięcie się z duchem w Czeladzi „odprowadziło go od przepaści” i krótko mówiąc nawrócił się. Jako się rzekło w roku pańskim 1825 w drugim dniu miesiąca listopada czyli w dzień Zaduszek dano znać będącemu na kwaterze podporucznikowi Twardowskiemu, że w domu państwa Borkowskich „coś przeszkadza.” Uśmieł się pewnie setnie pan Twardowski z takich andronów, ale mimo to postanowił czuwać noc całą, jako że na przygody niezwykle był lasy i fantazję żołnierską posiadał. O pierwszej nocy czuwania powiada imć pan Twardowski: - Zwieczora dał się słyszeć ogromny

huk we drzwi, na odgłos którego wpadam z pałaszem aby śmiałka pokarać. - Nikogo jednak podporucznik nie znalazł, więc przyszedł do wniosku, że była to widocznie „moc fizyczna lub mineralna.” To coś co zaniepokoiło wszystkich w całym domu, co stukalo w piec, to drapało, to znów ścigało kołdry. Widząc, że to nie żarty, domownicy którzy wraz z porucznikiem czuwali, wpadli na pomysł, że musi to być jakowaś dusza pokutująca. Tedy zaczęto wymieniać imiona wszystkich krewnych i znajomych niedawno zmarłych, aż w końcu utrafiono i okazało się że była to dusza świętej pamięci Jana Dunina, byłego kapitana wojsk polskich, po którym wdowa jeszcze naonczas w Czeladzi mieszkała. Kiedy już dowiedziano się jaki to duch nawiedził dom państwa Borkowskich, łatwiej już można było dojść z nim do porozumienia. Zapytano więc: - Czego żądasz duszyczko? - A duch uderzeniami dał znać, aby odprawiono zań 5 mszy i 1 wotywę od żony, od jego krewnych Górskich oddzielnie w kościele kalwaryjskim w Austrii, oraz aby ubogim dano „po 3 obiady z jałmużną” i jeszcze potem „5 mszy od proboszcza i 8 od żony.” Pokpiwał sobie potrosze pan podporucznik z tego nabożnego ducha ale przez ciekawość postanowił i noc następną czuwać.” W gronie osób czuwających znalazła się tym razem wdowa po świętej pamięci Janie - Duninowa. Po niespokojnej pełnej pukania nocy, nad ranem dało się słyszeć klaskanie. Pani Duninowa, niewiasta najwidoczniej chcąc uchodzić za bardzo trzeźwą i rozważną dowodziła, że to „chusty nad rzeką pierą.” Pan podporucznik zaś wyrozumiawszy „dyrekcją klaskania” pobiegł w tym kierunku z ordynansem ale nad rzeką nic nie znalazł, co go zaczęło utwierdzać w wierze iż aktualnie ma do czynienia z siłą niewidzialną. W czasie trzeciej nocy słyhać było mruczenie, zębami zgrzytanie i drapanie, poczem domownicy znowu porozumiewali się z duchem, który za pomocą stukania domagał się mszy za poległych w czasie wojny a po wystukaniu przez ducha marsza wojskowego nastąpił spokój w całym domu. I tak minęło w niepokoju kilka długich listopadowych nocy aż się wieść rozniosła po całym mieście i w dniu 8 listopada w nocy czuwali prócz podporucznika Twardowskiego tacy oto „godnej wiary Obywatele”, marszałek i notariusz Wielicki Józefat, radca Bieszyński, ksiądz Franciszek Miernicki - proboszcz sławkowski, ksiądz Walenty Zdebel - wikariusz miejscowy i inni. O godzinie 10 wieczorem dało się słyszeć dzwonięcie. Zaczem gdy inni badali od wewnątrz to miejsce skąd dzwonek się odzywał pan Twardowski wybiegł z ordynansem z domu, aby zbadać zewnętrzną stronę domostwa, ale nikogo dojrzeć nie mógł a dzwonek ciągle brzmiał i wydawał melodie żołnierskie, co ostatecznie imć pana podporucznika sztabu kwatremistrzowskiego o istnieniu i pobycie ducha przekonało i do opisanie „zjawiska” zniewoliło, nie dlatego „żeby przekazywać przestarzałe przesady” ale „z woli Mocy Niewidzialnej, Nadludzkiej.” To krótkie opisanie potwierdzili swemi podpisami: Twardowski - podporucznik sztabu kwatremistrzowskiego, marszałek i notariusz - Józefat Wielicki, radca Józef Bieszyński, Trzeciński - burmistrz miasta Będzina, Walenty Egierski - burmistrz miasta Czeladzi, kapitan Lenartowski - komendant żandarmerii obwodu olkuskiego, J. W. Gęborski - prebendarz sławkowski, proboszcz ksiądz Zielmański z Targoszyc i Krupiński - organista czeladzki. Aby nie było żadnych podejrzeń, iżby ktoś żarty nieprzystojne czynił z „godnej wiary obywateli”, na czas doświadczeń z duchem wsadzono do aresztu dwie dziewczki służebne

państwa Borkowskich: Jadwigę Kaźmierzanę i Ludwikę Sokołowską, które następnie przed sąd „Policji Prostej” w Olkuszu transportowano. Sprawa ducha czeladzkiego oparła się później aż o sąd w Jędrzejowie i Chęcinach, ale się później na niczym skończyło, bo to z duchami sprawa niełatwa i żadne ludzkie śledztwo, przez najmądrzejszych kauzyperdów prowadzone, do jądra rzeczy nie dojdzie, jako że śmiertelny umysł człowieka jest na to za słaby. Takie oto są dzieje dziwnego „zjawiska” które jak powiada imć pan Twardowski, ukazało się „w dość nikczemnym miejscu, bo w mieście Czeladzi.

K. C-rk.



Przygoda Baśki Egierskiej z Czeladzi. Legenda starej dzwonnicy. Podanie o lochach czeladzkich. Ciekawość Basi. Urwana głowa.

Było to wówczas gdy na wzgórzu skalistym w Czeladzi stał przepiękny starożytny kościółek murowany, co wyrósł w XV wieku na miejscu drewnianego wzniesionego na początku XIV wieku. Działo się to wtedy gdy ów kościółek otaczały prastare mury z polnego kamienia, gdy w cmentarne obejście wchodziło się przez śliczną bramę z białych kamieni, była przepyszna ozdoba kościoła, ze swymi siedmioma stopniami kamiennych schodów, wytartych zużyciem wieków. Zdarzyło się to w tych czasach kiedy ponad spadzisty dach kościoła strzelała potężna wieża, istne cacko architektury, o wspaniałym hełmie, z czterema glorietskami w narożnikach. Było to wtenczas, gdy obok kościoła stała stara drewniana dzwonnica, pozostałość po dawnym drewnianym. Od tego czasu upłynęło z górą trzy kopy lat. Z odwiecznego kościółka co swoją cudowną budową błagało o pozostawienie go w całości już i śladu niema. Istnieje tylko w obłakłych fotografiach, co zacni ludzie przechowują z pietyzmem, istnieje w bardzo rzadkich odbitkach pocztówkowych co staruszkowie nie dzisiejszych poglądów przechowują z umiłowaniem. Ha! Prawda! Było to jeszcze w tych czasach kiedy to Czeladzianie z dumą nosili swe stroje dawne, co w powadze kroju i koloru nie miały współzawodnika w całej Polsce. W tych to pięknych czasach w domku drewnianym o misternym dachu mansardowym z iglicami na szczytach, co stał przy ulicy Krzywej, mieszkał sławetny Józek Egierski liczący w swym sławnym rodzie dawnych burmistrzów miasta i szeregi rajców, co swą powagą przodowali na ratuszu czeladzkim. Posiadał on córkę, cud dziewczynę, piękną i świeżą jak jutrzeńka wesołą jak kukulka na wiosnę, trzpiotliwą jak ćwierkały wróble, skoczną jak sroczka, a rozśpiewaną jak słowik. Bywało jak się roześmiej, jak sygnie długą rzęsą ocienionymi oczyma, to każdy młodzian dostawał od tego zerknięcia kręćka w mózgownicy i przepadał z kretesem - bo Baśka to była wiosna umajona w cud-kwiaty, to było niebo, uperlone w świejące gwiazdy. Miała już lat piętnaście, lecz nie w głowie jej były zabawy, wołała przycupnąć u stóp babuli i słuchać cudnych opowieści o czasach przeszłych. Razu pewnego dowiedziała się od babuli, że stary kościół kiedyś łączył się lochem podziemnym z zamkiem na górze w Będzinie, że w razie niebezpieczeństwa dzieci, kobiety i starców tym lochem przeprowadzano do zamku gdzie bezpiecznie oczekiwali aż minie groźne niebezpieczeństwo. Bywało nieraz, że do tych lochów znosili mienie swoje aby je uchronić od grabieży. Ciekawa Basia zapytała babulki czy zna wejście do lochów i czy kiedy była w nich. Zadumała się na chwilę babunia a potem odrzekła: - Oj wiem gdzie wejście było a nawet sama byłam z nieboszczykiem dziadziusem, kiedy to trzeba było ukryć Imci pana Mikołaja Wróblewskiego, konfederata barskiego, co u nas szukał schronienia, a potem zmarł w Będzinie i pochowany został 24 lipca 1770 roku na cmentarzu pod kościołem świętej Trójcy. Przytuliła się Baśka do babci prosząc aby jej wskazała one miejsce. Lecz babula wzdragająca się, a gdy Baśka nalegała dalej, usłyszała taką opowieść: - Dziecinko, dziś się tam niedostać. Żli ludzie ukryli w lochach skarby które zdobyli w nielegalny sposób. Skarby opanował

zły duch, który broni przystępu do podziemi. Kto odważył się tam dostać płacił to życiem, nigdy świata bożego więcej nie oglądał. Baśka przymilając się babuni na rozmaity sposób, dotąd prosiła aż babcia zmiękła i z westchnieniem odrzekła: - Owo straszne wejście leży pod podłogą w starej dzwonnicy, ale pamiętaj żebyś wejść tam nie próbowała! Ostrzeżenie to podziało na Baškę wprost przeciwnie. Już na drugi dzień, gdy przedzwoniono wieczorem Anioł Pański wysunęła się z domu i pędem pobiegła do starej dzwonnicy. Dźwignęła drzwi co były w podłodze i spuściła się do lochu niedużego co leżał pod podłogą. Rozglądnowszy się w ciemności spostrzegła ciężkie wierzaje prowadzące do lochu. Namozoliwszy się wielce odepchnęła je z trudem. Buchnęło chłodem i wilgocią z lochu. W długą szyję zagiętą w dół prowadził gdzieś w niewiadomym kierunku korytarz. Ciekawa Baśka stanęła bezradnie nie wiedząc co dalej począć, gdy wtem posłyszała straszny huk, szum i turkot jakby zajeżdżały kolaski. Odważna dziewczyna przeżegnawszy się oczekiwała co dalej będzie. Naraz stanął przed nią, jakoby z ziemi wyrósł, piękny panicz, ubrany w czapkę, fraczek i pluderek. Podsunął się do Basi, kłania się grzecznie i prosi do tańca. Przebiegła Baśka nie w ciemność bita, odmawia bo jest boso. Paniczyk zakręcił się na pięcie, znikł na chwilę w czeluści czarnej, a potem zjawił się znowu, niosąc na srebrnej tacy, złotem tkane trzewiczki. Uradowana Basia wdziała je na bosc nożęta i znów odmówiła tańca, bo sukienka nie pasowała do trzewiczków. Paniczyk duchem przyniósł prześliczną sukienkę. Potem przyniósł gorsecik, potem husteczkę, następnie sznur koralu, wspaniałe pierścień, moc wstążki a gdy Basia jeszcze ciągle się wzbraniała, piękny chłopiec skoczył do podziemia i przyniósł garniec złota. Teraz Basia postanowiła zadzwic z tego panicza. Poprosiła go aby złoto wyniósł na wierzch i złożył tam gdzie ona mu wskaże a potem pójdzie w taniec. Chwycił młodzian garniec i wynosi z lochu. Za nim podąża Basia. Gdy wyszli z dzwonnicy Basia podskoczyła do najbliższego krzyża, co stał na cmentarzu kościelnym a objawszy go rękoma przywołała panicza. Ten podszedłszy spostrzegł krzyż, zawył z wściekłości a rzuciwszy złoto na ziemię, przepadł nie wiadomo gdzie. Na dworze było już zupełnie ciemno. Basia pozbierawszy część złota, już miała je nieść do domu, lecz przypomniła sobie że to przecież pieniądze nie jej, tylko kogoś komu źli ludzie zabrali - więc rzuciwszy je z powrotem na ziemię, pobiegła do domu. Tutaj zastała wszystkich w rozpaczach za nią, a także sąsiadkę, co obok mieszkała z córką z którą się Basia bawiła. Babunia i rodzice spostrzegłszy piękny strój Basi domyślili się gdzie była. Również i sąsiadka domyśliła się lecz nie pytawszy o nic odeszła do domu. Co tam się potem działo u Egierskich, nikt o tem nie wie, natomiast na drugi dzień zjawiła się koleżanka Baški, a córka owej sąsiadki, Jagna, no i w rozmowie z Basią wydobyła od niej tajemnicę wejścia do lochów. Pod wieczór gdy oddzwoniono Anioł Pański wyruszyła na wyprawę Jagna. Powtórzyła się ta sama scena co z Basią. Zjawił się paniczyk prosi do tańca a Jagna jednym tchem wypowiada swoje życzenia. Nieostrożna a chciwa dziewczyna puszcza się w taniec, lecz zaledwie trzeci raz się obróciła już miała głowę urwaną przez swego tancerza, który kadłub rzuciwszy do lochu, poniósł głowę Jagny do domu rodziców i podrzucił pod drzwiami izby. Wypadek ów tak przeraził mieszkańców Czeladzi, że postanowiono owo wejście zamurować. Gdy jednak zjawili się przed dzwonnica, spostrzegli że loszek pod podłogą zawalony

jest olbrzymim odłamem skały. Uspokojeni odeszli do domów, dziwiąc się w duchu, kto mógł tak olbrzymi głaz przynieść i położyć w lochu, bez naruszenia dzwonnicy. Później trafili się chciwcy, co próbowali dostać się do lochów, lecz przekonali się, że dalsze wejście jest zasypane rumowiskiem. Od tego czasu wszyscy przestali myśleć o skarbach czeladzkich, o lochu podziemnym, tak jak przestano powtarzać legendy o nim, jak zapomniano pięknych tradycji i miasta i jeszcze piękniejszych strojów.



Szubienice czeladzkie.

Stara Czeladź, pokryta patyną wieków zaliczana jest do najcharakterystyczniejszych miast Zagłębia. Na widok przyziemnych drewnianych domków z podcieniami i łamanymi dachami, rozsiadłych nad Brynicą, „Przedmieściu, ulicu Zamurnej, Podwalnej i obok kościoła odzywają się w człowieku dawne przeżycia czeladźan, ich chwile radosne i smutne, pełne udręki i zmagania z życiem niezawsze zapisane w kronikach a przechodzące jako żywe słowo z pradziada na swych synów i wnuków. Białe ściany tonące w zieleni i słońcu mają swoją wymowę i skargę. Przytulone do ziemi jakby wsłuchiwały się w echa dawnych żarliwych pieśni nabożnych, w wędrówki księżycy po gwiazdnym niebie ponad staremi lipami a szept miłosnych parok i oddech płuc spracowanego na roli gospodarza, który uśpiony tykaniem zegara śnił w sennym marzeniu nie tylko o opryszkach: Jurdze, Stasiu Kawce, Ściborowskim, napadach pruskich ale i jarzmie moskala, jakby się wyzwolić z jego uścisku. Śnił o szczęku broni powstańców...

Z pośród wielu zabytków i pamiątek dokoła których powstało cały szereg legend i podań na uwagę zasługują kapliczki czeladzkie i piaszczyste pola położone nad Brynicą pomiędzy Czeladzią a Wojkowicami Komornymi tak zwane „Szubienice.” Zwłaszcza szubienice czeladzkie mają ciekawą historię powstania i są dla miasta symbolem wielkiej ofiarności i głębokiego patriotyzmu dawnych czeladźan.

Po upadku powstania listopadowego (1831r) rozbitki powstańców nie chcąc się poddać carskiemu najeźdźcy próbowały na każdym kroku przeciwstawiać się kozactwu i staczać z nimi zacięte boje. Najzręczniejsze było prowadzić walki partyzanckie, które wobec liczebnie zastępów wojsk nieprzyjacielskich kończyły się dla powstańców dość szczęśliwie...

Z chwilą jednak gdy powstanie w całym kraju zostało niemal całkowicie stłumione, nad powstańcami zawisła groźba śmierci. Zdziękowane szeregi niedobitków pod dowództwem generała Rybińskiego przekradając się przez pole pod tak zwanym „Przelajem” na Górny Śląsk, będący pod zaborem niemieckim, tuż nad samą granicą, na wzgórzu pokrytym lasiem sosnowym osaczeni zostali przez kozaków a następnie częściowo rozniesieni szablami i wywieszani na sosnach. Czeladź pokryła się czarną żałobą na znak śmierci kilkudziesięciu bohaterów. Od tego czasu miejsce straceń powstańców nazwano „szubienicami”. Z biegiem czasu sosny - szubienice zostały wycięte, pola poddano uprawie a ostatnio nawet wyrastają na nich domki mieszkalne. Wiele lat później tereny te „Maderą” nazwano. Ale to już zupełnie inna historia.

Skarby powstańcze.

Nazywał się Grzegorz Liszka i był włodarzem we dworze w Milowicach. Zmarł przed 80 laty jako starzec 90 letni. Na krótki czas przed śmiercią, tak opowiadał przyjacielowi.

Było to w 1863 roku. Nie pomnę dnia ani miesiąca, aleć wiem że listek już opadał na dobre z drzewiny a wisem⁽¹⁾ nad rzeką Brynicą chrzebościła⁽²⁾ wichura, jakby sto opętańców w niem siedlisko miało. Na odwieczerz⁽³⁾ tak się rozpsociło⁽⁴⁾, że konie same z przyłogu⁽⁵⁾ do stajni uciekały. Opatrzywszy⁽⁶⁾ wszystko na folwarku, poszedłem wcześniej spać. Nakrywszy się kożuchem, aby dętki⁽⁷⁾ nie słyszeć, wnet usnąłem. Jak długo spałem, nie wiem, gdy naraz obudziło mnie myrkotanie⁽⁸⁾ które zbliżało się do dworu i po pewnej chwili ucichło. Odwróciłem się na drugi bok i po pewnej chwili zacząłem drzemać, gdy znów posłyszałem ale już nie myrkotanie tylko stuk w okno. Trochę się przestraszyłem, myśląc, że znów przyszli na rewizję, mimo to podszedłem do okna, chcąc się przekonać, kto w taką noc wonkróci⁽⁹⁾. Ale że ćma była wielka, nic nie widziałem. Postąłem krzyneń⁽¹¹⁾, gdy znów zastukało. Rad nie rad, pytam:

Kto jest i czego żąda?

Za całą odpowiedź usłyszałem: Swój - otwórzcie!

Cóż było robić? Otworzyłem. Do izby wszedł jakiś pan przy boku wisiała mu skorbelacha⁽¹²⁾ na głowie widniała konfederatka. Pochwaliwszy Pana Boga, prosił, abym wziął w przechowanie skrzynię, którą przywiózł na wozie. Poznałem zarutko⁽¹³⁾, że to jakiś starszy powstaniec, co ucieka przed Moskalami, więc pytam o zawartość skrzynki. Zrazu ociągał się z odpowiedzią, lecz w końcu odrzekł ostro, że skrzynka, to kasa powstańców pełna pieniędzy i ważnych papierów, że musi ją ukryć, aby nie wpadła w ręce kozaków, którzy go tropią od kilkunastu godzin. Gdy to posłyszałem, oświadczyłem, że skrzynki nie przyjmę, bo kozacy codziennie wpadają na rewizję i znaleźć ją mogą i że najlepiej będzie jeżeli pieniądze zakopie w lesie lub utopi w rzece. Podumał nieco, a potem rzekł:

Przyjacielu! prowadźcie do rzeki.

Nawdziawszy kapotę wyszedłem z przybysem na podwórze, gdzie stał wóz, zaprzęgnięty w parę koni, a przy nim kilku ludzi, także powstańców. Starszy podszedł do furmana co siedział na wozie, coś mu szepnął do ucha, a potem kazał nawrócić. Na koniec zwrócił się do mnie i zawołał:

- Idźmy.

Poprowadziłem go przez wygon⁽¹⁴⁾ dworski, a za nami ruszył wóz z ową skrzynią. Po drodze przemysliwałem, gdzieby to najlepiej utopić skrzynię. Przypomniałem sobie, że podłe kapliczki, już na stronie czeladzkiej jest na środku rzeki głębia i że to miejsce będzie najlepszym schowkiem dla skarbów powstańczych. Tam też powiodłem moich gości. Gdyśmy przybyli na to miejsce, starszy rozkazał wjechać w wodę z wozem, a gdy już dosięgliśmy połowę rzeki kazałem przystanąć i wskazać ową głębię. Znajdowała się po lewej stronie wozu w odległości dwóch metrów. Ów starszy powstaniec rozkazał dwom innym wziąć za skórzane uszy skrzynkę, rozchybotać ją dobrze i śmignąć w wodę. I tak się stało. Bryzgnęła woda na

wszystkie strony, zakotłowało się na głębinie i skończyło się. Skarb - powstańczy znalazł schowek na wieczne czasy. Gdyśmy się znaleźli na brzegu z powrotem pan ze skorbelachą kazał mi przysiąc, że nie zdradzę miejsca nikomu.

Dziś po tylu latach prawił Grzegorz, gdy Brynica już kilka razy zmieniła koryto, a głębina już dawno zamulona została, myślę że nie zgrzeszyłem opowiadając o tej przygodzie, boć przecie nikt skarbu szukał nie będzie.

Wyjaśnienia.

- (1) Wis - tatarak, szuwar.
- (2) Chrzebościć - szeleścić, szumieć.
- (3) Na odwieczerz - przed wieczorem.
- (4) Psota - plucha, słota.
- (5) Przylóg - pastwisko przypierające do łąki.
- (6) Opatrzeć - oglądać.
- (7) Dętka - wichura.
- (8) Myrceć - terkotać.
- (9) Wonkrucić się - włóczyć się.
- (10) Ćma - ciemno.
- (11) Krzyna - odrobina, chwilka.
- (12) Skorbelacha - szabla, karabela.
- (13) Zarutko - zaraz.
- (14) Wygon - pastwisko.

Dlaczego w Czeladzi nie ma dworca kolejowego?

Dlaczego? Hm, w Czeladzi raczej takich pytań zadawać nie należy. To pierwsze słowo do bitki dla zadziornych Czeladzian, to zadra nie wyleczona od ponad 100 lat. A jak się to zaczęło? Związane jest to ze sprawą budowy pierwszej w Polsce „drogi żelaznej” czyli kolei warszawsko - wiedeńskiej. Kolej ta zbudowana została w latach 1845 - 1848. Omijała jednak ważne centrum przemysłowe, jakim było Zagłębie Dąbrowskie, gdyż od Ząbkowic biegła na południowy wschód do miejscowości Granica (później nazwane Maczki) do granicy rosyjsko - austriackiej. Dopiero w 1858 roku postanowiono połączyć Warszawę również ze Śląskiem i w tym celu zbudowano rozgałęzienie kolei warszawsko - wiedeńskiej od Ząbkowic przez Dąbrowę Górniczą - Będzin - Czeladź do Bytomia. Trzeba było wytyczyć trasę, wykupić grunta. Wszystko przebiegało prawidłowo i bardzo sprawnie dopóki miernicy nie weszli na tereny Czeladzi. (Mierników zwano wówczas geometrami lub gwarowo „ometrami”). Było to w okresie zimy, to też prace biegających z tyczkami ludzi, budziły powszechne zainteresowanie. Starzy czeladzianie opowiadają między sobą jak to było: - Bogaty gospodarz czeladzki - Nieszporek - co to pole miał wzdłuż traktu będzińskiego, a i stodołę olbrzymią na tych polach, od czasu do czasu, także w trakcie zimy, gospodarstwo swoje oglądać pragnął. Wybrał się więc Nieszporek w pole i oczom swoim nie wierzy. Oto wokół jego stodoły jacyś ludzie, z tykami wielgachnymi skakają, jak nieprzymierzając zające. Niedobrze - myśli sobie Nieszporek - co też to może być? Pewnikiem nic dobrego. Podchodzi odważnie do jednego z nich i pyta: - A szanowni panowie, to niby szkulili czego⁽¹⁾ na moim polu? Dowcipny miernik odpowiada: - A bo widzicie gospodarzu „drogę żelazną” do Bytomia mierzymy i wychodzi na to, że przez środek waszej stodoły będzie ona biegła...

Zadumał się Nieszporek, a po chwili odpowiada: - Róbcie szobie jak chcecie, ale jeśli myślicie, że za każdym przejazdem pociągu będę otwierał i zamykał wrota szwoi sztodoly, to się grubo mylicie”.

Tak to, jak twierdzą niektórzy złośliwcy, tylko lenistwu Nieszporka któremu nie chciało się otwierać i zamykać wrót swej stodoły zawdzięczać należy, że nie ma dworca kolejowego w Czeladzi...

Inni natomiast inaczej rzecz wywodzą. Opowiadają, że gdy Czeladzianie dowiedzieli się o wykupie swych gruntów pod kolej, gwałtownie zaprotestowali. Burmistrz zwołał ogólne zebranie mieszkańców i długo debatowano nad sprawą tak bardzo żywotną dla miasta. Być może, że wśród tych głosów nie brakło i takich „że to krowy będą się strachać, „że zatrują powietrze w mieście” i że wreszcie „mogą być wypadki śmiertelne”. Ale nie te powody przeważyły. Trzeba pamiętać, że Czeladź od stuleci żyła z przewozu towarów przez granice, że od wieków najintrynatniejszym zawodem w Czeladzi był zawód przewoźnika (wegfuranta, jak mówiono w pobliskim Bytomiu), bardziej opłacalnym niż rzemiosło i gospodarzenie na roli. I to wszystko nagle miało się urwać z powodu „żelaznej drogi”. Powiedziano więc *nie* wykupującym grunta, nie przewidując skutków swej decyzji. Kolej poprowadzono od Będzina przez Sosnowiec do Katowic, grzebiąc w ten sposób

szansę rozwoju miasta Czeladzi a także Bytomia. Ale kto mógł wówczas przewidzieć jaką rolę miastotwórczą odegra kolej? Czeladzianie długo żalowali swej decyzji. Nawet w okresie międzywojennym starali się o przeprowadzenie kolei przez Czeladź. Daremnie. Stąd też poczucie i winy i krzywdy. Może jednak z czasem coś się zmieni. Na razie jednak nie pytajcie Czeladzian o dworzec.



Topielec w Czeladzi w powiecie będzińskim w gubernii piotrkowskiej.

Przez osadę Czeladź płynie rzeka Brynica, a mieszkańcy nadbrzeżni twierdzą, że w rzece mieszka topielec. Wielu widziało go na własne oczy wielu też doświadczyło na sobie jego złośliwości i figlów. Mieszka on stale we wodzie, a skoro wyldzie z niej, można go widzieć jak siedzi na wodzie, na największej głębi, chodzi po wodzie, albo też wzdłuż brzegu gdzie spoczywa często w trawie i czatuje na ludzi. Topielec pokazuje się jako chłop wysoki chudy, odziany w długą kapotę sukienną, ale z lewej kieszeni tego okrycia kapie zawsze woda: cieknie też woda z szerokiego ciemnego kapelusza filcowego, który nosi zawsze na głowie. Po tem tylko można go poznać. Rzadziej daje się widzieć jako chłopiec mały w czerwonej krakusce. Czasem widywali go ludzie nawet w postaci żrebaka. Jest silny i człowieka zmoże zawsze. Ludzi wabi do wody a nieostrożnych topi. Lubi płać figle ludziom, a gdy mu się te udadzą, to ucieszony śmieje się i klaszcze w ręce. Przynosi także szczęście, a gdy zjawi się na jarmarku, to wszyscy kupcy, kramarze i przekupnie sprzedadzą cały towar, nawet chleba w tym dniu na jarmarku zabraknie. Po tem też poznają ludzie, że był między niemi topielec. W stosunku z człowiekiem dotrzymuje zawsze słowa, ale pamięta wyrządzoną sobie krzywdę i mści się za nią. Można go złapać zarzuciwszy na niego szkaplerz, różaniec lub inne świętości i przyprowadzić do domu. O topielcu opowiadają tutaj mnóstwo baśni, z których podaję kilka, tak jak je zasłyszalam.

1. Topielec mści się za zniewagę.

Robotnik wracał późnym wieczorem z roboty do domu. Szedł ścieżką wijącą się wzdłuż rzeki Brynicy. Po drodze spotkał kilku kolegów i tak szli razem w dobrych humorach dalej. Gdy nadeszli w to miejsce gdzie rzeka w największym wije się zakręcie i najbardziej szumi, ujrzeni na ścieżce w poprzek leżącego chłopca w ogromnym kapeluszu. Głowa jego sięgała brzegu rzeki, a nogami przytłaczał kawał łąki. Ciekawi kto by to mógł leżeć o tak późnej porze, otoczyli go kołem, a jeden z nich śmielszy wszedł do środka, uderzył leżącego kilka razy kijem i kazał mu wstać. Chłop ogromny nie przeląkł się tego napadu, wstał spokojnie, a zbliżywszy się do robotnika, który go bił zawołał: - Dał ci Pan Bóg szczęśliwie przeżyć dniówkę, to idź spokojnie do domu, a nie zaczepiaj ludzi. Wreszcie dodał - Ty mnie jeszcze popamiętasz! Robotnik przeląkł się niezmiernie, włosy dębem stanęły mu na głowie, bo dopiero teraz zauważył że ogromnemu chłopcu woda cieknie z kapelusza. Poznał że ma do czynienia z topielcem i zaczął nagle uciekać, a za nim drudzy. Kiedy już ubyli kawał od rzeki, odwrócili się jeszcze, ażeby zobaczyć co się stało z topielcem i ze zdziwieniem ujrzeni go stojącego na środku najgłębszej wody, śmiejącego się i klaskającego w ręce. Po kilku tygodniach zdarzyło się, że tenże sam robotnik wracał tą samą drogą do domu. Gdy przyszedł tuż nad rzekę, przypomniał sobie owe zdarzenie z topielcem i z bojaźnią rozglądał się wkoło czy przypadkiem go nie spotka. Po chwili rzeczywiście ujrzał tego samego

chłopa w szerokim kapeluszu siedzącego na wodzie. Topielec wnet gdy go spostrzegł, a poznawszy zaczął gonić. Chłop uciekał co miał siły i tak biegł do cmentarza. Gdy już się znalazł pomiędzy domami, topielec zawrócił do wody. Robotnik przyszedł do domu ledwie żywy i jak twierdzi 6 tygodni leżał potem ciężko chory z przestachu.

2. Topielec pyta o drogę do wody.

Jakaś kobiecina opowiadała, że w niedzielę podczas sumy stała przed domem oparta o wóz i rozglądała się dookoła. Nagle ujrzała zbliżającego się chłopca w ogromnym kapeluszu, chudego i niezmiernie wysokiego. Chłop ten olbrzymi uśmiechnął się do niej, a kobieta od razu poznała, że jest to topielec, więc ze strachu nie mogła z miejsca ruszyć. Chłop zbliżył się z uśmiechem do niej i zapytał: - Moja kobieto, którędy można dojść do rzeki? Kobieta pokazała mu drogę i uciekla czym prędzej do izby będąc pewna że rozmawiała z topielcem.

3. Topielec usadził żołnierza w wodzie.

Żołnierz z pogranicznej straży opowiada, iż pewnej nocy miał służbę w polu nad granicą. A że była to noc ciemna, więc był pewny, że kontroli nie będzie i najspokojniej położył się i zasnął. Nagle czuje, że ktoś go szarpie i mówi: - Chodź czempędzej nad rzekę, bo właśnie tamtędy mają dzisiaj towar przemycać, więc ich wszystkich wyłapiesz. Żołnierz wstał, przypatrzył się temu co go zbudził i zobaczył że był to ogromny chłop w szerokim kapeluszu, z którego ciekła woda; uwierzył mu mimo tego i poszedł za nim. Gdy już kawał drogi uszli, chłop powiedział: - Tędy mają przechodzić przemytnicy, więc siadź sobie i czekaj. Moskał rzeczywiście usiadł i czekał, ale jakoś nie mógł się doczekać „szwarcowników”. Dopiero kiedy dzień zaczynało, spostrzegł się że siedział po pachy w wodzie, bardzo daleko od tego miejsca gdzie miał służbę wyznaczoną. Domyślił się, że to topielec figla mu spletał.

4. Topielec złapany.

W Będzinie topielec co roku topił mnóstwo ludzi, więc chłopci zmówili się i postanowili go złapać. Przez dłuższy czas czatowali koło rzeki, aż nareszcie pewnego wieczora ujrzeli ogromnego chłopca wychodzącego z wody. Przyczaili się cichutko na brzegu w trawie i czekali aż się do nich zbliży. Wtedy zarzucili mu na szyję szkaplerze i inne świętości i tak zaciągnęli do najbliższej chałupy i trzymali za przypieckiem. Stamtąd chcieli go zaprowadzić do kościoła, ażeby go ochrzcić. Topielec bał się chrztu ogromnie, więc prosił i przyrzekał, że już nigdy nikogo z Będzina nie utopi. Chłopi uwierzyli i odprowadzili topielca napowrót do wody. I rzeczywiście od tego czasu podobno żaden Będziniak nie utonął. Jeżeli znaleźli kogo utopionego, to ze wsi sąsiedniej, a nigdy z Będzina.

5. Topielec zjawia się między dziećmi.

Dziewczęta pasły krowy na pastwisku. Nagle przyszedł do nich wysoki chłop w szarokim kapeluszu. Dzieci zauważyły, że lała mu się woda z kapelusza i lewej kieszeni. Chłop kazał dzieciom aby mu buty ściągnęły ale one wystraszone uciekły,

zostawiając bydło na pastwisku. Wszyscy we wsi twierdzą, że chłopem tym był topielec.

6. Topielec w postaci żróbka.

Z piątku na sobotę jakiś parobczak długo nosił wodę z rzeki. Coś około 12 godziny, nabierając po raz ostatni wodę zauważył w rzece młodego żrebaka, który ogromnie w wodzie skakał i paraskał. Przestraszony tem parobek zostawił konewki przy wodzie i uciekł do domu twierdząc, że żrebak leciał za nim aż do chaty i że to był topielec.

7. Topielec zmógł chłopą.

Starzy ludzie opowiadają iż raz znaleziono nad rzeką pobitego chłopą już prawie dogorywającego. Chłop ów twierdził, że bił się z topielcem i że ten ostatni go zmógł.

8. Topielec moczy nogi w rzece.

Pewien chłop wracał raz wzdłuż rzeki późnym wieczorem z gry w karty do domu i zobaczył chłopą w ogromnym kapeluszu siedzącego nad brzegiem rzeki i moczącego nogi w wodzie. Przechodzący zaczął na niego rzucać kamieniami, gdyż mu się zdawało, że to jeden z jego znajomych. Wtem zerwał się straszny wiatr, chłop obejrzał się jeszcze raz za siebie i ujrzał owego niby znajomego na środku rzeki, śmiejącego się serdecznie. Poznał wtedy, że się mylił i był przekonany, że widział topielca.

9. Topielec przechadza się po wodzie.

Jacyś ludzie jechali w nocy wózkiem drogą wiodącą nad rzekę. Było to w zimie; mróz ostry ściął wodę a zawieja śnieżna szalała w okropny sposób. Gdy nadjechali w to miejsce, gdzie rzeka jest najgłębsza, ujrzeni środkiem rzeki przechadzającego się chłopą w długiej do ziemi kapocie i ogromnym kapeluszu. Poznali, że był to topielec, gdyż niemożliweby było, ażeby ktokolwiek z żyjących ludzi mógł w takim czasie przechadzać się spokojnie po zmarzniętej rzece.

10. Topielec w czerwonej krakusce.

Razu pewnego pasterki i pasterze paśli bydło na pastwisku. Nagle pokazał się między niemi chłopak w krakusce i pytał o drogę do Grodźca; dzieci wskazały mu drogę. Gdy chłopak odszedł, zaczęły krowy ziemię kopać, ryczeć i gonić. Przestraszeni pasterze spędzili je do stada. Za jedną krową pobiegła dziewczyna aż do rzeki. Tam na brzegu zobaczyła piękne kwiaty, więc zapomniawszy o krowie zaczęła je zrywać skwapliwie. Wtem pośliznęła się jej noga i dziewczyna wpadła w wodę. Zauważyły to dzieci i pobiegły ją ratować. Niestety woda była za głęboka i dzieci bezradne stanęły nad brzegiem. Zobaczyły tylko na środku rzeki tego samego chłopca w czerwonej krakusce, śmiejącego się i klaszczącego w ręce. Po jakimś dopiero czasie wyciągnięto z wody dziewczynę ale już nieżywą. Dzieci twierdziły, że ją topielec zwał do wody.

11. Topielec dokucza pasterzom.

Razu pewnego paśli pastuchy trzodę na pastwisku. W nocy pokładli się jeden obok drugiego, ponakrywali się kożuchami i zasnęli. Gdy się przebudzili wczesnym rano, zauważyli z przestachem, że im skradziono kożuchy, nie było też koni. Nareszcie zobaczyli kożuchy poukładane jeden obok drugiego nad brzegiem rzeki, a konie znaleźli dopiero nad wieczorem. Byli przekonani, że im topielec z figłów kożuchy pokradł i na brzegu poukładał, a konie rozpedził.

Do opowiadań jakie zebrałam w roku ubiegłym 1904 o topielcu posyłam dzisiaj kilka nowych szczegółów.

1. Gospodarz pilnował w polu wykopanych ziemniaków, aby mu ludzie nie rozkradli; położył się na workach i zasnął. Nagle usłyszał „buczenie” na 6-tą, bo miał pole blisko kopalni; więc czymprędzej wstał i szedł do domu. Na drodze tuż nad rzeką zastąpił mu drogę wielki chłop, a rozłożywszy ręce nie chciał go przepuścić. Gospodarz jednak minął go, a gdy już uszedł spory kawałek drogi, obejrzał się poza siebie i ujrzał tego chłopca na piecu wapiennym, mieszającego jakąś wielką miotłą wapno. Po chwili przestał mieszać, a spojrzawszy w dół spostrzegł stojącego gospodarza i zaczął klaskać w ręce i skakać jakby z radości. Gospodarz teraz dopiero poznał, że to był topielec i począł uciekać. Twierdzi, że mu włosy tak stanęły dębem na głowie, że aż czapka mu się wzniosła do góry, a po przyśściu do domu zauważył, że dopiero godzina 12 w nocy.

2. Starzy ludzie opowiadają, że co noc do młyna przychodził topielec smażyć ryby, a młynarka umyślnie dla niego musiała palić ogień. Raz wieczorem do tego młyna zaszedł jakiś wędrowny człowiek z niedźwiedziem, a pokazawszy młynarzowi wszystkie sztuczki, jakie niedźwiedź umiał, prosił o nocleg. Młynarz chętnie na to przystał, tem bardziej że już mu się sprzykrzyły nocne wizyty topielca, więc chciał, żeby razem z nim choć jedną noc ktoś przepędził. Długo gwarzył w noc wędrowny z młynarzem i jego rodziną. Z nadejściem godziny 12 wszedł topielec i jak zwykle zbliżył się do pieca, aby ryby usmażyć. Gdy to niedźwiedź spostrzegł, wyrwał się z łańcucha wędrownemu z ręki i rzucił na topielca. Zaczęło się ogromne szamotanie; niedźwiedź był silny, ale i topielec nie słaby. Wkrótce udało się niedźwiedziowi przewrócić topielca na ziemię. Przytem zaczął go silnie drapać. Topielec nie krzyczał o pomoc, ale kiedy spostrzegł, że niedźwiedź mniej silnie przyciska go łapami, wyrwał się i uciekł. Od tego czasu nie chodził już topielec do młyna; czasem tylko zapytywał się przez okno: „Młynara, jest tam ta kociara?”... Młynarka naturalnie odpowiadała, że jest, bo wiedziała, że topielec boi się niedźwiedzia, którego wziął za wielkiego kota i przez to będzie miała w domu spokój.

3. Bardzo dawno temu jakiś krawiec czeladzki szedł drogą ku Będzinowi; ubrany był w długą kapotę prawie do ziemi. Kiedy był już na granicy, to znaczy mijał pola czeladzkie, a wchodził na będzińskie, ujrzał na tej granicznej linii pięknego konia, osiodlanego i nakrytego zielonym suknem. Wielce uradowany zawołał; „Ach ty mój koniczku, toż sobie teraz na ciebie wsiadę, a ty mnie zawieziesz tam, gdzie zechcę”. To mówiąc obciął koniowi połowę pięknego sukna, bo mu

się spodobało. Następnie wsiadł na konia i popędził lecz nie tam gdzie chciał, ale koń go niósł w szalonym pędzie, to jest wprost w przeciwnym kierunku. Po jakimś czasie wpadł koń na trzęsawiska i tam zrzucił z siebie krawca do błota. Przy tym zaczął rzeć i grzebać nogami jakby z radości, następnie uciekł galopem. Krawiec leżąc w błocie, słyszał jeszcze gdzieś w dali jakby śmiech i klaskanie. Do rana biedny krawczyzna przeleżał na onych moczarach aż dopiero ludzie idący do pracy cudem prawie wydobyli go z niebezpiecznego miejsca ledwie żywego. Gdy przyszedł do domu zauważył, że kapotę miał dokoła obciętą i domyślił się, że koniem tym musiał być topielec a on sam zamiast zielonego sukna obciął sobie własną kapotę.

Nimfa Madlówna

Odpis z „Ludu” tom IX z 1904 r. s. 438, 1905 roku strona 311



Pamiętne to są lata! Głoskami krwawemi
 Żywo się zapisały w dziejach naszej ziemi.
 Idą z dzikim wejrzeniem tłumy przez ulice
 Nad nim barwne z dumą wiewają sztandary,
 Tłum idzie, a gorączka maluje mu lice
 W oczach jakby odbłyśki nadziei i wiary.
 I słysząc pieśni wolności śpiewanie,
 - A górą się rozlega dzikie wron krakanie...

I cicho, pusto wkoło... Sklepów okiennice
 Zamknięte; osiadł spokój na gwarne ulice,
 Wtem coś poczerniało w dali na zakręcie
 To z pieśniami na ustach idą wielkie tłumy,
 Idą uroczyście jak duchów zaklęcie
 Nacechowane pieśnią wolności i dumy.
 A nad nim powiewa polski sztandar biały,
 Wtem słysząc tętent - rozległy się strzały...

Runęły, pierzchły tłumy, jak gromada ptaków,
 W powietrzu słysząc jęki i wycia kozaków,
 Słysząc straszne przekleństwa, konania,
 Tam słysząc szabel o kość nagą dźwięki,
 Tu płacz dzieci i nieludzkie jęki...

- A górą się rozlega dzikie wron krakanie
 I spokój, cisza martwa znów zapanowała,
 Tylko się po kamieniach krew niewinna lała.

Cały kraj zapelniły dzikie szubienice,
 Trupami się pokryły polskich miast ulice,
 Zapelnili niewinni strasznych więzień mury,
 Syberyjskich kopalń zapelnili lochy,
 I ozwały się dzikich, wielkich głosów chóry,
 I miały przekleństwa nawet martwe prochy...
 I była ziemia polska jako łez dolina.
 Tu płacze opuszczona i biedna rodzina...

Na starem cmentarzysku, nad szarą mogiłą
 Dwoje dzieci żałośnie przy sobie kwiliło,
 Opodał na kamieniu staruszka siedziała,
 A z piersi jej wychodził głuchy jęk po jęku,
 A obok niej kobieta z dzieciną na ręku,
 Ponuro dzikim wzrokiem na groby patrzyła,
 Opuszczona przez wszystkich, bez dachu, bez chleba,
 Straszny głos wołała o pomstę do nieba...

Jak 50 lat temu szukano skarbów pod Przelajką - za wskazówką biegłego hipnotyzera.

W Przelajce, małej śląskiej wiosce obok Czeladzi, mieszkał 59 letni Jan Niedbał z dwoma synami Stefanem i Józefem. Zarówno ojciec jak i synowie opanowani byli żądzą wzbogacenia się i w tym celu od dawna czynili poszukiwania zakopanych skarbów. Szczęście jednak nie sprzyjało im, to też postanowili zwrócić się o pomoc do hipnotyzera, o którym dowiedzieli się, że mieszka w Czeladzi. Miał to być sławny hipnotyzer, że sława jego zaćmiewała takie potęgi jak Pytello lub Szkolnik. Ojciec z synami odszukali mieszkanie hipnotyzera znajdujące się w domu pana Kona przy ulicy Bytomskiej, który pracował na jednej z kopalń Śląskich. Po przedstawieniu całej sprawy i zapewnieniu swego udziału w podziale skarbów, hipnotyzer - Leon Woźniczko przyrzekł swą pomoc i na drugi dzień w towarzystwie swego szwagra Jana Jaroniego przybył na Przelajkę, gdzie w izbie Niedbałów przeprowadził pierwszy seans. Świetne medium znalazł w kuzynie Niedbała - Jana Krajuszka, który w transie począł wskazywać miejsca zakopanych skarbów. O północy z mieszkania Niedbałów wyruszyła gromada mężczyzn uzbrojonych w łopaty, długie pręty żelazne i kilofy. Poczęli oni jak duchy skradać się ku końcowi wsi. Rozpoczęły się gorączkowe poszukiwania i wkrótce łopata zadźwięczała, a rozgorączkowany Niedbał wyciągnął z ziemi... szklankę zalepioną woskiem, w której znaleziono zapisany pergamin. Była to wskazówka jak szukać skarbu. Należało przede wszystkim zapłacić kilka mszy świętych co też Niedbałowie uczynili wręczyszy hipnotyzerowi 111 złotych. Po upływie 14 dni dopiero można było wszcząć powtórne poszukiwania. Można sobie wyobrazić zniecierpliwienie Niedbałów, skazanych na tak długie wyczekiwanie. To też gdy minęły dwa tygodnie, wzgórze obok kapliczki pod Przelajką zaczęło się poszukiwaczami, którymi kierował hipnotyzer i wszystkowiedzące medium. Cztery metry pod ziemią miał być ukryty skarb, gdy jednak kończono kopanie głębokiego dołu, na dnie którego lada moment miało zabłysnąć złoto, stała się rzecz niespodziewana... Oczom poszukiwaczy ukazała się biała postać, która zbliżywszy się do przerażonych i obezwładnionych poszukiwaczy, głosem grobowym rzekła: - Jam jest duch Andrzeja Skiby i nie pozwolę ruszyć swoich skarbów prędzej, jak odprawionych zostanie 19 mszy świętych. Duch wszedł do świeżo wykopanego dołu i w oczach obecnych począł znikać. Nie pomogły też żadne zaklęcia hipnotyzera tembardziej, że przerażone towarzystwo uciekło ile sił w nogach. Skarb strzeżony przez ducha jeszcze raz uszedł chciwych rąk poszukiwaczy. Stary Niedbał postanowił sprawdzić czy istotnie zapłacone msze zostały odprawione w kościołach w Łagiszy, Będzinie i Dąbrowie. Oświadczone mu jednak, że nikt nie zamawiał modłów, a na dowód tego Będzin wystawił mu nawet poświadczenie. Teraz dopiero naiwny kmiotek zrozumiał, że padł ofiarą własnej naiwności, to też udał się ze skargą do policji w Czeladzi. Policja szybko odszukała medium, hipnotyzera i jego pomocnika oraz zdemaskowała również ducha tak zazdrośnie strzegącego skarbu, przywracając mu całkiem ludzką postać. Był nim Mieczysław Lipka z Sosnowca, który wkrótce miał zostać szwagrem hipnotyzera Woźniczki. Na całą rodzinę duchów

i hipnotyzerów sporządzono doniesienie o oszustwo i osadzono w areszcie. Po poszukiwaczach skarbów pozostał jeno głęboki dół obok pamiątkowej kapliczki. A może jednak skarby tam są?



Jak rolnik Czeladzki stał się złodziejem własnej kapusty.

Lata trzydzieste naszego wieku to dla Czeladzi okres bardzo niekorzystny. Miasto było zadłużone, z dnia na dzień rosła ilość bezrobotnych, którzy imali się każdej pracy, a gdy jej mimo to nie starczało dochodziło do kradzieży.

Jak donosił „Kurier Zagłębia” z dnia 15 października 1932 roku: „Kradzieże polne w Czeladzi przybrały ostatnio charakter masowy. Onegdajszej nocy uzbrojeni strażnicy polni stoczyli prawdziwą walkę ze złodziejami. Na tle właśnie tych kradzieży, miało tam miejsce bardzo wesołe zdarzenie. Jeden z rolników, któremu kradziono systematycznie kapustę postanowił schwycić złodzieja i w tym celu ukrył się w polu. W nocy jednak, zamiast jednego przyszło kilku drabów po kapustę, to też właściciel uznał za wskazane nie zdradzać swej obecności. Lecz wkrótce odkrył go jeden ze złodziei i groźnie zapytał, kto on zacz jest? Nie widząc innego wyjścia, powiedział że... przyszedł ukraść kapusty, lecz sądził że nadchodzi właściciel. Złodzieje zaprosili go zatem do „współpracy” i wkrótce szedł pośpiesznie do domu obładowany własną kapustą”.

I wszystko, pokryte mrokiem nocy, a właściwie półmrokiem wczesnego poranka zostałoby niezauważone gdyby biedak nie musiał wracać przez Rynek. Mieszkająca tu jego kuma, co to na podagrę cierpiała i dospać do rana nigdy nie mogła. Siedziała przy oknie pilnie obserwując dźwigającego ciężki wór. Nie mogła tego zrozumieć a zbyt ciekawą była by sprawę przepuścić. Otworzyła tedy okno i głośno pyta: - Dokąd to kumie o tak wczesnej porze?

- Ano kumo „kto rano wstaje temu Pan Bóg daje” ja idę już z pola, kapusty na obiad trza było...

- E tam kumie kochany, kto rano wstaje ten cały dzień chodzi niewyspany a na kapustę to jeszcze za wcześnie i cosik ziemią spaprani jesteście. No cóż, wygadał się przed kumą ze swej przygody biedny „tabelowy”. A na drugi dzień wiedziała o tym cała Czeladź, bo miejscowy korespondent redaktorem zwany do gazety podał:

- I wygadał się ze swej przygody kum kumie

W nadziei, że ta go zrozumie

Zrozumiała -

Tyle, że na drugi dzień już o tym cała Czeladź wiedziała...

Poszkodowanego rolnika na dodatek od tej pory „kapuścianą głową” przezywali. Nazwiska nie podaję, starzy czeladzianie i tak wiedzą o kogo chodzi.

Skąd „Madera” w Czeladzi ?

Był to rok 1932. Marszałek Józef Piłsudski, nieuleczalnie już wówczas chory wyjechał na kurację, czy raczej na wypoczynek na Maderę. Pod jego nieobecność prasa endecka pozwalała sobie na wiele. Pisała m. in.:

Kto to taki?

Siedzi na Maderze

Orzeszki se łupie

A Polskę ma w d...

W tym czasie w Czeladzi wiele się o marsz. Józefie Piłsudskim mówiło. Rada Miejska nadała mu tytuł „Honorowego Obywatela miasta Czeladzi” gdyż dawniej tu bywał.

Józef Nieszporek miał pole w północnej części Czeladzi koło Przelajki. Pędzi tedy biedak by obrobić ów kawałek ziemi, a tu po drodze zaczepia go sąsiadka:

- Józefie, dokąd to pędzicie?

- Jak to dokąd? Na Maderę, odpocząć trochę.

Ta, rozbawiona, powtórzyła innym. I tak przylepiła się ta nazwa do północnej części miasta. Powtarzana, coraz częściej, utrzymała się, mimo iż z pobytem marszałka Piłsudskiego na Maderze, nikt już dzisiaj tej nazwy nie łączy.

Czeladzki bębnik.

Po dziś dzień można spotkać w Zagłębiu takie określenie „o tym bębnią po całym mieście” czyli, że wiadomość jest powszechnie znana. Skąd się to wzięło? Otóż z wielusetletniej tradycji. Już w średniowieczu władze miejskie przekazywały swoje decyzje miejscowemu społeczeństwu w ten sposób, że woźny magistracki za pomocą bębnienia powodował gromadzenie się mieszkańców i odczytywał im jakieś wiadomości, na przykład uchwałę rajców miasta, albo zapowiedź przyjazdu do miasta jakiejś wybitnej osobistości lub inne ważne wydarzenie. Tak było i w Czeladzi... Mieszczanie byli przywiązani do tej tradycji, do swego bębnika. Bębnik to był „ktoś” na trwale wpisany w pejzaż starego miasta, poza które nie wychodził. Czeladzianie byli głęboko przeświadczeni, że ich bębnik głosił „wiadomości dobre i złe ale zawsze prawdziwe”. Czeladzki artysta malarz J. Szyller poświęcił jedną ze swoich grafik tej właśnie postaci. Pamiętają też czeladzianie swego bębnika w stroju służbowym. To sam burmistrz mjr Dorobczyński go zaprojektował a wykonał najlepszy z czeladzkich krawców Gabryś. Mundur był z wylogami i błyszczącymi guzikami. Pamiętają także czeladzianie i takie zdarzenie, z okresu panowania burmistrza R. Piwowara który był przez mieszczan bardzo nie lubiany za swą zarozumiałość i niedostępność. Było to w 1932 roku. W Czeladzi zaplanowała jakaś zaraza. Cholera - nie cholera? Aby zapobiec epidemii Zarząd miasta po zasięgnięciu opinii lekarzy wydał odpowiednie zarządzenie, które miał zaraz rozgłosić bębnik. Sekretarz Rady miejskiej pan Józef Tajchman napisał na kartce krótko; „W mieście panuje cholera. Burmistrz nakazuje pić przegotowaną wodę i myć ręce przed jedzeniem”. Szanowny bębnik, tuż przed Magistratem po odbębnieniu wygłosił; „W mieście panuje cholera Burmistrz (i tu zabrakło mu tchu - powstała mała przerwa) ...nakazuje pić przegotowaną wodę i myć ręce przed jedzeniem”. Zdumiał się, gdy otaczająca go gawiedź zaczęła się śmiać. Szybko połapał się jednak i w następnych miejscach wygłaszał (zgodnie z kartką ale bez odpowiedniej interpunkcji) - „W mieście panuje cholera burmistrz... Nakazuje się pić przegotowaną wodę i myć ręce przed jedzeniem”. Ale był ubaw dla miasta. Powtarzano to sobie przez wiele lat... A cholera burmistrz? Cóż, za nadużycia został zwolniony, a potem powiesił się. Źle skończył, choć czeladzianie mu tak źle nie życzyli.



Najstarsze miasto Zagłębia...

Spór o to, które z miast Zagłębia jest starsze rozgorzał między Będzinem i Czeladzią. Wytaczano najcięższą artylerię, najlepsze argumenty a spór się ciągnął. Będzinianie, chcąc być górą, na drodze do Czeladzi wywiesili olbrzymi transparent z napisem; „Wita Cię Będzin - najstarsze miasto Zagłębia”.

Czeladzianie nie pozostali dłużni. Na drodze do Będzina, naprzeciw transparentu będzińskiego wywiesili własny; „Wita Cię Czeladź - miasto starsze od Będzina”.

Z relacji b. przewodniczącego MRN Czeladzi pana Kazimierza Prusa
Czeladź 1992 rok.

Spis treści

1.	Wstęp	5
2.	Skąd się wzięła nazwa Czeladzi	6
3.	Złoty ołtarzyk	7
4.	O czeladzkiej szubienicy	8
5.	Walka czeladzian z hrabią Wojciechem Mieroszewskim	10
6.	O Imci Panie Józefie z Przełajki Kreczyku	13
7.	O tem jak źli sędziowie niewinną na śmierć skazali ...	17
8.	Dlaczego starzy czeladzianie „czedzą” i „szeplenią”	21
9.	Opowiadanie dziadunia o wojnie napoleońskiej	23
10.	Imć pan porucznik Twardowski o duchu w Czeladzi	26
11.	Przygoda Baśki Egierskiej z Czeladzi...	29
12.	Szubienice czeladzkie. O powstaniu listopadowym	32
13.	Skarby powstańcze. O powstaniu styczniowym	33
14.	Dlaczego w Czeladzi nie ma dworca kolejowego	35
15.	Topielec w Czeladzi...	37
16.	1905 - 1907	42
17.	Jak 50 lat temu szukano skarbów pod Przełajką...	43
18.	Jak rolnik czeladzki stał się złodziejem własnej kapusty	45
19.	Skąd "Madera" w Czeladzi?	46
20.	Czeladzki bębniak	47
21.	Najstarsze miasto Zagłębia	48

